KONGRESOWI ZJEDNOCZENIA POLSKIEJ KLASY ROBOTNICZEJ

CZYTELNIK

ODRODZENIE

TYGODNIK

Redakcja: Daszyńskiego 16
Administracja: Daszyńskiego 14
Cena 25 zł

Rok V — Warszawa, dnia 12 grudnia 1948 r. — Nr 50 (211)

rys. B. W. Linke

„Socjalizm i odbudowa to sztandar Zjednoczonej Partii!"

JAN BRZECHWA

MARSZ

Bije godzina niezapomniana,
Zakręt historii — druga zmiana.
Trzeba zwycięstwu drogę torować,
Marsz rozpoczęty. Partio, prowadź!
Razem w śpiewie i razem w gniewie,
Gniew — proch, śpiew — zarzewie,
Niesie sztandar dłoń pracowita,
Gra maszynami Rzeczpospolita
Praca, praca — cel przed nami,
Równaj krok z przodownikami,
Rewolucja zapala Ziemię,
Walka trwa — wróg nie drzemie.

Chowa spekulant worki w sklepie,
Kołtun z trwogi pacierze klepie:
Bóg na niebie — wojna na czasie,
Kołtun kałdun pobożnie pasie.
Warchoł w Londyn wlepia ślepie:
— Przyjedzie Anders, będzie lepiej.
W maglu szepcą ciemne kumoszki:
— Cukru nie będzie, chleb jest gorzki,
Wiedźmy po domach straszą dzieci:
— Masła nie ma, wzięli „Sowieci".
Tłuste dewotki straszą głodem,
— Zatruł antychryst chleb i wodę,
Pasibrzuch ulejski chłopów judzi:
— Na Sybir będą wywozić ludzi.

Żyje, mąci, knowa podziemie,
Walka trwa dalej, wróg nie drzemie,
Kto nie z nami, będzie z nami,
Kto przeciw nam — siła go złamie!
Który tam? Z drogi! Partia kroczy,
Twoja partia, ludu roboczy.
Wspólnie pracować, wspólnie budować,
Maszerować! Partio, prowadź!
Razem w gniewie i razem w śpiewie,
Gniew — proch, śpiew — zarzewie.
Gniew, śpiew, dłonie żylaste,
Czerwień sztandarów — płomień nad miastem,
Wola — stal, cel dnieje,
Komin fabryczny pisze dzieje.

Wspólny marsz — drogą szeroka,
Po nocy dzień, dzień — epoka.
W ogniu walki ten dzień hartować,
Nasze zwycięstwo! Partio prowadź!

CELINA BOBIŃSKA

KILKA MYŚLI O PARTII

PARTIĘ polityczną, jako zjawisko w życiu społecznym i jako pojęcie polityczne, wydało na świat społeczeństwo burżuazyjne. Stało się to wówczas, gdy walka polityczna przerosła skalę pałacowych intryg i spisków. Monarchię absolutną burżuazja zwyciężyła nowymi metodami walki politycznej.

Politycy burżuazyjni w walce o władzę szukali społecznego zaplecza, szukali poparcia „stanu trzeciego" w szerokim tego słowa znaczeniu, a więc ludu. Dla zdobycia tego poparcia trzeba było politykę wywlec z dusznych arystokratycznych salonów i uczynić **rzeczą publiczną**. W burżuazyjnej rewolucji powstała burżuazyjna partia polityczna.

Z czasem coraz wyraźniej ujawniał się klasowy charakter burżuazyjnych partii, ich klasowo ograniczona istota, głęboko demagogiczny charakter ich apelu do mas.

Surowy patos Klubów Jakobińskich umarł wraz z demokratycznym okresem rewolucji. Rzecz w tym, że ten rewolucyjny patos, ideowość, fanatyzm i entuzjazm przynieśli ze sobą ludzie z ludu, którzy na krótki okres czasu uczynili Kluby swoimi.

Klasyczne zaś partie burżuazyjne z czasów względnej sytości kapitalizmu, a jednocześnie jego nieustającej zachłanności, były przeważnie w rękach burżuazji narzędziami polowania na głosy wyborców. Narzędzi dla zdobywania głosów (weźmy klasyczne poniekąd wzory z życia politycznego za Trzeciej Republiki) było tym więcej, im więcej zabiegów wymagało ich usidlanie, im bardziej rozmaitą trzeba było stosować demagogię dla utrzymania topniejących wpływów na masy. Dla tych klik płynnych, mnożących się jak grzyby po deszczu, to znów topniejących, dla tych ugrupowań coraz to zmieniających barwę polityczną i żonglujących hasłami oraz programami, nie istniało i nie istnieje to bogactwo wewnątrz-partyjnych zagadnień wychowawczych i organizacyjnych, które charakteryzuje rewolucyjną partię proletariatu. Nie mogły te zagadnienia i problemy zgoła istnieć tam, gdzie panuje cynizm w pojmowaniu działalności politycznej, niechęć do świadomej politycznej działalności **rzeczywistego społeczeństwa**, dla działalności mas złożonych z prostych ludzi, gdzie panuje niewiara w to aby udało się pozyskać to społeczeństwo na stałe dla antyludowej, imperialistycznej polityki. Przykładów wynaturzenia burżuazyjnego życia politycznego dostarczają nam dziś w obfitości burżuazyjne partie zachodniej Europy i Ameryki łącznie z partiami „marshallowskich socjalistów".

Niegdyś dla wygrania tych lub innych wpływów politycznych partie burżuazyjne wyrzekały się nawet najtrwalszych zasad kapitalistycznej wiary, zasad protekcjonizmu lub wolności handlu. Dziś dla ratowania zachwianej władzy przed inicjatywą mas swego narodu, sprzedaje się nie tylko ojczyznę, która przed stu laty była celem burżuazyjnej polityki, lecz i interesy rodzimego przemysłu. **Strach klasowy** jest jedyną stałą zasadą burżuazyjnych partii.

Reformistyczne socjal-demokratyczne partie w zachodniej Europie nie wprowadziły nic nowego w pojęcie partii politycznej. Nie dały też one odpowiedzi, jaką powinna być partia proletariatu, aby mogła przeciwstawić się polityce burżuazyjnej. Przeciwnie, całą swoją działalnością partie te zrzeszające dwie masy robotnicze, jak gdyby stwierdzały, że proletariat zawsze ma przebywać w burżuazyjnej szkółce politycznej i z wdzięcznością korzystać z „mądrości" stworzonego przez burżuazyjnych „starszych panów" mechanizmu politycznego. Partie te zrzeszały robotników w organizacji zbudowanej na tradycjach burżuazyjnych i przenikniętych burżuazyjnym pojmowaniem partyjnictwa. Podobnie jak ówczesne partie burżuazyjne, podporządkowywały one wszystko grze parlamentarnej i widziały w tej grze sens i cel swego działania. Partiom tym obca była myśl o etyce czy moralności partyjnej, o dyscyplinie, czy o pracy nad ideowością swoich ludzi.

Stalin mówi:

„Broniąc II Międzynarodówki przed atakami Kautsky powiada, że partie II Międzynarodówki są narzędziem pokoju a nie wojny i że właśnie dlatego nie były w stanie przedsięwziąć niczego poważnego w czasie wojny, w okresie rewolucyjnych wystąpień proletariatu. Jest to zupełnie słuszne. Ale co to oznacza? Oznacza to, że partie II Międzynarodówki nie nadają się do rewolucyjnej walki proletariatu, że nie są bojowymi partiami proletariatu, prowadzącymi robotników do zdobycia władzy, lecz aparatem wyborczym przystosowanym do wyborów parlamentarnych i do walki parlamentarnej". (Zagad. leninizmu, str. 71).

Leninizm wzbogacił wiedzę o społeczeństwie nauką o roli, jaką w rozwoju historycznym odgrywa świadomy i zorganizowany ruch polityczny, mianowicie ruch robotniczy. Wykazał on, w jak wielkim stopniu wpływa ten czynnik na kierunek zawiłego procesu dziejowego i na jego wyniki. Leninizm dał obszerną analizę zasadniczych cech tego ruchu, wykazał jego „inność", odrębność od ruchów politycznych w przeszłości. Rewolucyjną partię proletariatu Lenin nazwał partią nowego typu, przeciwstawiając ją socjaldemokratycznym, reformistycznym partiom II Międzynarodówki. Leninizm wykazał, że odrębność partii nowego typu od wszystkich innych partii politycznych nie jest rzeczą przypadkową, lecz, że wynika z właściwości nowej epoki, epoki imperializmu i z jej potrzeb historycznych. Wynika z rosnącej kontr-rewolucyjności burżuazji, wynika z sytuacji, w jakiej znalazł się proletariat, wynika ze stopnia rozwoju i stopnia dojrzałości klasowej samego proletariatu i jego zadań historycznych.

Partia nowego typu jest odpowiedzią klasy najbardziej uciskanej i najbardziej postępowej, na straszliwe konflikty epoki. Partia ta zrealizowała w najbardziej doskonałej postaci organizacyjne możliwości, które były właściwe klasie robotniczej i które rozwijały się w miarę gorzkich doświadczeń tej klasy, w miarę wzrostu liczby jej chrztów bojowych.

Nadszedł okres „wojen" i rewolucyj". Burżuazja uznała, że do walki z rosnącą świadomością rewolucyjną nadają się wszystkie formy walki, wszystkie środki, nadaje się brutalny gwałt i dyktatura. Wciąż potężniejąca machina państwowa obróciła się otwarcie przeciwko „wrogowi wewnętrznemu". Od czasów boulangizmu poczynając, mieszczuch nawet w „ojczyźnie demokracji" marzył zasypiając o „człowieku silnej ręki".

W tym okresie, gdy gospodarczo, społecznie i politycznie dojrzała już rewolucja socjalistyczna, musiała powstać prawdziwie rewolucyjna partia proletariacka. Partia ta, chociaż też ogarniamy ją starym terminem „Partii politycznej" musiała być orężem walki politycznej zasadniczo odmiennym nie tylko od partii burżuazyjnych, ale i od reformistycznych partii II Międzynarodówki, musiała być zupełnie nowym organizmem politycznym, kształtującym się na nowych zasadach organizacyjnych i ideowych.

W każdym razie, takiej partii nie mógł wyłonić stary socjal-demokratyczny ruch zdeprawowany i skompromitowany przez burżuazyjne politykier wo. przez bałwochwalczy stosunek do parlamentaryzmu. Lenin nazywał ten bałwochwalczy stosunek do burżuazyjnego parlamentu, tę wiarę, że parlament burżuazyjny wymyśli lekarstwo przeciwko kapitalizmowi — „kretynizmem parlamentarnym". Pod tym względem przeważająca część socjalistów zachodnio - europejskich w epoce imperializmu w niczym nie przerastała owych drobnomieszczańskich posłów do frankfurckiego parlamentu z roku 1848, z których tak niemiłosiernie drwili Marks i Engels za to, że chcieli wymodlić od prawicy frankfurckiej demokrację dla Niemiec.

Partia, która miała być „sztabem bojowym" rewolucji — jeśli użyjemy określenia Stalina — musiała przewyższać doskonałością organizacyjną wszystko, co pod tym względem osiągnęła burżuazja. Musiała m. i. zwyciężyć burżuazję i wysoką świadomością każdego swego skromnego szeregowca, najmniejszej śrubki, działającej w wielkim, świadomie kierowanym przewrocie społecznym.

W burżuazyjno - demokratycznych i w socjalistycznej rewolucji XX wieku, na wschodzie Europy proletariat wykazał własne, jemu tylko właściwe formy rewolucyjnej walki politycznej. Taką formą walki był powszechny strajk polityczny. Mogła sobie na nią pozwolić tylko taka siła polityczna która jednocześnie była siłą produkcyjną. Ona ożywiała proces produkcji, ona też mogła go unieruchomić. Lecz ten powszechny strajk polityczny, np. w 1905 roku, w niczym nie był podobny do owego modnego wówczas na zachodzie naiwnego i syndykalistycznego panaceum cudownego, strajku — środka przeciwko kapitalizmowi. Powszechny strajk polityczny, który pokazała rewolucja 1905 był groźnym preludium do rewolucyjnego po-

(Dokończenie na stronie czwartej)

2517. K. 1948.

Z POLSKIEJ ANTOLOGII REWOLUCYJNEJ

PREKURSORZY PIEŚNI PROLETARIACKIEJ

Wybrał i podał do druku
JULIAN TUWIM

ANTONI GORECKI

(1787—1861)

CHŁOP I SZLACHCIC

„Cóż to ty? rozumniejszy, niż twe ojce, dziady,
„Co słuchali z pokorą — a ty tu niełady
„Chcesz w wiosce zaprowadzać, Jakubinie! Chłopie!
„Będziesz milczał, jak ja cię batami wykropię!"

Tak napadł raz na chłopka szlachcic gniewem zdjęty,
Że ten, umiejąc czytać, w Ewangelii świętej
Wyczytał o miłości Boga przykazanie,
O braterstwie, i wołał na tych praw złamanie.
Wołał do drugich chłopków: „Wiecznież my w niewoli,
„W ucisku, w nędzy, będziem przykuci do roli?
„Nie takie, bracia, prawo stworzyciela światów!"
Szlachcic mu na odpowiedź, kazał dać sto batów.
Chłopek wstał, wyszedł skruchą niby zdjęty szczerą.
Lecz później go przekona — ogniem lub siekierą.

WŁADYSŁAW SABOWSKI

(1837—1888)

Z KRWAWYCH DNI

(Komuna paryska, w maju 1871 r.)

Patrz, to Paryż! Przekleństwo cisnęły nań losy,
Na ulicach wre walka szalona, zaciekła,
Z zastępami żołdaków bije się tłum bosy,
Rozwścieklone kobiety z rozwianymi włosy
Biegają jak furie z piekła.

Wszędzie rzeź i pożoga, mord, krew, jęk i wycie,
Brat w piersi brata topi ostrze zbójczej stali,
Matki tym śmierć zadają, którym dały życie,
A wróg, stojąc z daleka, uśmiecha się skrycie
Z tych „ludzi czy też szakali?"

Gmachy kilkowiekowe walą się na skronie
Starców, którzy już kilka pokoleń przeżyli,
Przeszłość się zamieniła w pochodnię i płonie,
Krwawo czerwonym blaskiem jaśniejąc przy zgonie
Tych, co jej pożar wzniecili.

Gdzieniegdzie już zwycięstwo wojska nad ulicą
Ogłoszono zatknięciem „prawowitych" znaków,
„Porządek" zapanował nad całą dzielnicą
Gdzieniegdzie jeszcze walka, jeszcze nawałnicą
Napływa krew na żołdaków.

Na przedmieściach „legalna" wzięła górę siła:
Ujętych z bronią w koło ustawiono duże,
Oficer po jednemu pod mur ich wysyła,
Jeniec staje, broń pali, i bezkształtna bryła
Wali się w krwawą kałużę.

Już wszyscy — sta ich były — odbyli swą kolej,
Jest tylko młode chłopię w podartej koszuli.
„Ktoś ty?" spytał dowódca. „Wzięty do niewoli!"
„Jesteś wolny — nie twojej lituję się doli,
Lecz żal mi prochu i kuli".

„Nie chcę — krzyknęło chłopię. — Niech zginę jak inni
Kiedym walczył jak oni i jak oni wzięty;
Jeślim winny, wiek młody mnie nie uniewinni,
A jeśli ci, co tutaj polegli, niewinni,
Czemuż ja mam być wyjęty?

Jeżeli jaką łaskę okazać mi chcecie —
Mam przy sobie zegarek i trochę pieniędzy,
Mam matkę, którą kocham nad wszystko na świecie,
Pozwólcie mi to zanieść tej biednej kobiecie,
A potem wrócić co prędzej".

Poszedł. Krwawi oprawcy zostali pod ścianą.
Oficer pod wąsami zamruczał: „Nie wróci...
Gdyby jednakże wrócił... Ano,
To byłby znak widoczny, że go wychowano
Nie dla nas — dla rewolucji!"

Wrócił... Stanął pod ścianą i dumnym wejrzeniem
Wezwał oprawców swoich do krwawej roboty.
Oficer krzyknął: „Strzelać" z pewnym w głosie drżeniem.
Żołnierze niewolniczo za jego skinieniem
Podnieśli w górę szaspoty.

Śmierć spojrzała na dziecko wzrokiem luf dwunastu
I ołowiem nań z tyluż plunęło gardzieli...
Upadł... Żołnierze poszli... Rząd ogłosił miastu,
Że już buntowniczego nie ma więcej chwastu,
Że nie ma już wichrzycieli!

Niema ich... Czas zagoi wkrótce ranę świeżą,
A za lat kilkanaście znajdziemy sensatów,
Co z trójnoga swej wiedzy rzekną, że nie wierzą,
Iż Francja takich dzieci mogła być macierzą
I matką tak nędznych katów!

RYSZARD BERWIŃSKI

(1819—1879)

MARSZ W PRZYSZŁOŚĆ

Jak tu straszno! Tu nas dręczą
Pełno łez i skarg!
Pod żelazną kark obręczą
Purpurową zaszedł tęczą,
Niegdyś wolny kark
A tam ziemia obiecana
Bez tyrana i bez pana,
Pod zarządem bożym.
Czeka nas za morzem
Krwi!
Za czerwonym morzem!

Jak tu straszno! Nagi, bosy
Gromadzi się lud,
W polach świecą białe stosy
Naszych kości. Dzikie głosy
Krzyczą zewsząd: głód!
A tam ziemia obiecana
Z burzanami po kolana,
Z chlebem, solą, zbożem.
Czeka nas za morzem
Krwi!
Za czerwonym morzem!

Tu chce zniszczyć ród człowieczy
Faraonów moc,
A aniołów ani mieczy
Bóg nie zsyła ku odsieczy,
Choć prosim dzień - noc!
Więc gdy stary Bóg nie słucha
Pomódlmy się do obucha,
Uściśnijmy noże
I dalej za morze
Krwi!
Za czerwone morze!

LUDWIK MIEROSŁAWSKI

(1814—1878)

DO BRONI!

Do broni, ludy, powstańmy wraz
I bratnią sobie podajmy dłoń,
Zetrzeć tyranów nadszedł już czas,
Wieńcem wolności ozdobić skroń!
Hasłem do boju: wolność i lud,
Do broni, do broni uderzmy wraz,
Zwalczyć tyranów — wszak to nie cud,
Do broni, do broni, już nadszedł czas!

Precz z tytułami: książę i pan,
Zetrzyjmy ślady haniebnych lat,
Jeden Bóg, wiara i jeden stan,
I jedno miano: bliźni i brat.
Niechaj tyranów zaginie ród,
Do broni, do broni, powstańmy wraz,
Niech mądre prawa stanowi lud.
Do broni, do broni, już nadszedł czas!

Tych, co Sekwany kosztują wód,
I tych, co Wisły, zalegli brzeg,
I tam znad Newy nieszczęsny lud
Niech dziewiętnasty zjednoczy wiek!
Wszakżeśmy bracia, jeden nasz Bóg.
Do broni, do broni powstańmy wraz
I jedna wiara i jeden wróg,
Do broni, do broni, już nadszedł czas!

MARIA KONOPNICKA

(1842—1910)

TY COŚ WALCZYŁ...

Ty, coś walczył dla idei,
Chwała ci!
Boś wykrzesał z twej nadziei
Nawskroś burzy i zawiei
Jasne dni...
Ciebie niosły w wielkie boje
Archanielskie skrzydła twoje
I odzianyś jest przed światem
Blaskiem ducha i szkarłatem
Własnej krwi!

Ty, coś poległ dla idei,
Chwała ci!
Boś padł w progu twej nadziei,
Nie czekając swej kolei
Jasnych dni...
U twych prochów, u mogiły
Będą wieki szukać siły
I naznaczą twoje kości
Wielką drogę ku przyszłości
Śladem krwi!

Jeszcze większa tobie chwała,
Ty, co żyjesz dla idei,
Przędąc dla niej szaty ciała
Przy ogarku twej nadziei
Jasnych dni...
W pracy, w męce
Krwawisz ręce,
Na jutrzenną świata przędzę
Ból swój wijąc, swoją nędzę...
A nikt nie dba i nie zgadnie,
Gdzie ostatnia kropla padnie
Twojej krwi!

RODOĆ (Mikołaj Biernacki)

(1836 — 1901)

NAJJAŚNIEJSI KRÓLOWIE!

Najjaśniejsi królowie!
Jasne ekscelencje!
Kanclerze i ministrowie!
Święte eminencje!
Wyście rozum, serce, dzielność,
Cześć wam, cześć i nieśmiertelność.

Nadbrzeże: śnieg i deszcze;
W jamie, pod drzewa szachtą
Leży, oddycha jeszcze
Nędzarz odziany płachtą.
Żebrał pracy dzień cały,
Na próżno! Noc zapada.
Bez dachu tu, zgłodniały,
Wpółmartwe ciało składa.
Zatacza błędnym okiem —
Śmierć sunie wielkim krokiem...
— Ale co tam! Bierz licho!
Chodźmy! co nam do trupa?
Oto pałac biskupa —
Jak rozkosznie! jak cicho!

Mróz. W zapadłej chałupie
Drży rodzina wieśniacza,
Głód ich oblicza trupie
Bladym piętnem naznacza.
W progu komornik. Prawo
Za królewskie podatki
Zagarnia pracę krwawą.
Lichych sprzętów ostatki.
Porządek syty. Nędza
Śmierci jej łup napędza.
— Ale co tam! Niech płaczą!
Chodźmy, ot zamek stary,
Złoto, srebro, puchary,
Tam nas suto uraczą!

Poddasze. Nagie ściany,
Wśród nich postać grobowa,
Wzrok jej wpół obłąkany,
To z czworgiem dzieci wdowa.
Bez chleba od tygodnia,
Na twarzy od łez pręga,
W oku rozpacz i zbrodnia,
Bezwiednie po nóż sięga.
Stało się, śmierć już leci,
Zmiotła matkę i dzieci.
— Ale co tam! Niech giną!
Chodźmy! ot słychać zdala
Wiwaty — dworska gala,
I kobiety i wino!

Noc. Na polu zwycięstwa
Wbito sztandar. A chwała
Liczy ofiary męstwa,
Półrozszarpane ciała
I źrenice gasnące.
Lecz krwi, jęków — dostatek,
Wdów i sierot tysiące,
Tysiąc w rozpaczy matek!
Na dworach, w sztabach — ra-
[dość.
Dumie stało się zadość.

Najjaśniejsi królowie!
Jasne ekscelencje!
Kanclerze i ministrowie!
Święte eminencje!
Wyście rozum, serce, dzielność,
Cześć wam, cześć i nieśmiertelność!

ROMAN ZMORSKI

(1822—1867)

O G N I A!

Ziemia martwa — ziemia skrzepła...
Młode życie by jej wrócić,
Jarzmo lodów by z niej zrzucić, —
Nie dżdżu łez, nie westchnień ciepła,
Ognia trzeba! ognia trzeba!
Z piekła, gdy nie można z nieba

Potrzeba pieśni rozpaczy,
Straszliwej, jak bezdeń piekła,
Co by pierś ziemskich tułaczy
Dopóty kąsała wściekła,
Póty, aż plemię skarlałe,
Od bólu wściecze się całe.

Aż ta wściekłość, w kształt piorunu,
Spróchniałym zatrzęsie światem,
Krwi go omyje szkarłatem...
Piorunu trzeba! piorunu!
Niech pół świata w proch obróci,
A niech reszcie wolność wróci!

Warszawa po ogłoszeniu Konstytucji. (Plac Teatralny, 1905 r.)

KAROL BRZOZOWSKI

(1821 — 1904)

REWOLUCJONISTA

— „Rozwalać, burzyć — to hasło jest twoje.
Mozolną wieków zdruzgotać budowę,
Rozpalić ludzkość w grabieże, rozboje
I na krwi mule chimery wznieść nowe.
Pożóg przed tobą łuna płomienista,
Pochód swój znaczysz krwi ciekiem
Stój, szatanie, tyś rewolucjonista,
Stój, ty nie jesteś człowiekiem!"

— Ha ha! jam szatan! a ty kto, podporo
Trupiej, zemszałej budowy! strażniku!
Powiedz, kto jesteś, że ci duch mój zmorą,
Kolką twych piersi, lodem twego szpiku!
Że ci mieszkaniem ta kałuża krwista
I pot ten, lany stuwiekiem!
Człowiecze! Tyś nie rewolucjonista,
Lecz i nie jesteś człowiekiem...

O, świat tak piękny, uroczy, bogaty,
Sam owoc prosi: spożywaj, człowiecze!
A tu wspaniałe, uberlone kąty,
Nad darem niebios — łańcuchy i miecze,
Z wspaniałych darów ludzkość nie korzysta.
Choć pracy pali się spiekiem,
Ja — czuję to, jam rewolucjonista
I przez to czucie — człowiekiem.

O, świat tak piękny, a straszno tak w świecie!
Wlecze się nagich półtrupów gromada
I z pańskich stołów zagarniając śmiecie
Niby pies głodny wyje: głód i biada!
Tej strasznej pieśni — kareta złocista
Turkotem wtórzy dalekim...
Mnie boli to, jam rewolucjonista,
Przez ból ten jestem człowiekiem.

O, świat tak piękny, a straszno tak w świecie!
W łabędzim puchu próżniak i bogacze,
A z jarzmem trudu — niedola na świecie,
Nędza, ciemięstwo, krew, wyzyskiwacze.
Krwią braci tłuszcza tuczy się złocista
I potu bratniego spiekiem.
Precz z nią! ja wołam, rewolucjonista,
Przez krzyk ten jestem człowiekiem!

Dalej do dzieła i wspólnymi bary
Podważmy czarta budowy piekielne,
Od naszych jęków drży już gmach ten stary,
Czynem mu ciosy zadajmy śmiertelne!
Dalej do dzieła! Niech się świat oczyści!
Koniec pegaństwu, obłudzie!
Hej wszyscy bądźmy rewolucjoniści,
A wszyscy będziemy ludzie.

GUSTAW EHRENBERG

(1818 — 1885)

SZLACHTA w roku 1831

Gdy naród na pole wystąpił z orężem,
Panowie na sejmie radzili;
Gdy lud Polski krzyczał: „Umrzem lub
zwyciężem!"
Panowie o czynszach prawili.
Gdy wiara porwała siekiery i kosy,
W siermięgach z województw ruszyła.
Panowie uczone podnosili głosy,
Gadali wymownych słów siła.

Armaty pod Stoczkiem zdobywała wiara
Rękami czarnemi od pługa,
Panowie w stolicy palili cygara,
Radzili o braciach z za Buga.
Radzili, prawili, i w mądrej swej głowie
Ukuli rozejmy, traktaty;
O cześć wam panowie! o cześć wam posłowie!
O cześć wam hrabiowie, magnaty!

Zadrżyjcie szlachcice! już naród się poznał
I wyszedł z pod waszej opieki;
Wam naród wywdzięczy krzywdy, których
doznał.
Lud już was przeklął na wieki.
O! kiedy wybije godzina powstania,
Magnatom lud ucztę zgotuje;
On miecze i stryczki zaprosi do grania,
A szlachta niech sobie tańcuje.

Muzyka zaśpiewa: „Panowie magnaci!
Możecie odbywać tu sejmy;
Możecie z szubienic, mądrzy dyplomaci!
Układać uchwały, rozejmy!"
Magnaterya — jest to stara nierządnica,
Od dawna straciła powaby,
Choć różem pokrywa szpetność swego lica,
Nie nęcą już wdzięki tej baby.

A lud jest to wiejska dziewczyna urodna,
Co wdzięcznie każdemu się śmieje,
Jej mowa jest szczera, jej suknia niemodna,
Rumieniec na twarzy jaśnieje.
To dziewczę, gdy kogo pozdrowi uprzejmie,
Miłością napoi i wzruszy,
A kiedy w swe silne uściski obejmie,
Ach, niebo otworzy mu w duszy!

MŁODZI WOBEC KONGRESU

KRZYSZTOF GRUSZCZYŃSKI:

Nasza publicystyka literacka z upodobaniem posługuje się przymiotnikiem „intelektualny": intelektualna proza, intelektualna poezja. Nadużywany ten przymiotnik nie jest — jakby się zdawało — synonimem wysokiej klasy ideologicznej, śmiałego umysłu, ciekawego spojrzenia. Oznacza jedynie chłodny jak kalkulacja kupca stosunek do świata, po straganiarsku rozważną aprobatę rewolucji. Odstrasza mnie modny typ pisarza — „intelektualisty", który jest całkowicie przekonany, nie odczuwając równocześnie entuzjazmu.

Dlaczego o tym piszę? Czyn kongresowy polskiej klasy robotniczej — to wielka fala wzruszenia. Meldunki o wykonaniu rocznego planu produkcji i nadprogramowych zobowiązaniach świadczą o jej wzroście. Ta fala wzruszenia, płynąca przez kraj, użyźni chyba ogródek naszej literatury.

Pamiętamy dyskusję o nowym człowieku, toczącą się na łamach czasopism literackich: jak ma wyglądać, jakimi zaletami go obdarzyć, jakie wady mu zostawić. W ostatnich miesiącach, w ostatnich kilku tygodniach, nowy człowiek w Polsce urósł moralnie, dojrzał ideologicznie.

Po kilkudziesięciu dramatycznych latach rozdarcia proletariat polski pójdzie do socjalizmu w zjednoczonej marksistowsko-leninowskiej Partii. Kolejny okres bitwy o przyszłość stawia przed pisarzem partyjnym porywające zadanie: trzeba pokazać człowiekowi jego wielkość. Ceni się u nas jeszcze drobnomieszczańskie buntownictwo, którego pseudorewolucyjna świeżość polega na szokowaniu burżuja. Nie sądzę jednak, aby napisanie pornograficznego opowiadanka było aktem bohaterstwa.

Rangę pisarza rewolucyjnego musimy zdobywać, bijąc się na pierwszej linii frontu walki klasowej.

Krzysztof Gruszczyński

Manifestacja (Kraków 1923 r.)

BOHDAN CZESZKO:

Zimą z czterdziestego trzeciego na czterdziesty czwarty rok, gdzieś w okolicach ewangelickiego cmentarza na Woli, w małym mieszkaniu jednego z towarzyszy odbywało się pierwsze zebranie Warszawskiej Rady Narodowej.

Ludzie siedzieli ciasno jeden przy drugim, palili papierosy. W pokoju od razu zrobiło się duszno i szyby pokryła warstwa oparu. Przybywającym opowiadano ukuty przez kogoś z uczestników narady dowcip: „WRN doczekał się potężnego przeciwnika — jest nim Warszawska Rada Narodowa".

Przemówienia, którymi przedstawiciele PPR, PPS, młodzieży socjalistycznej i ZWM witali moment utworzenia Rady, były bardzo zwięzłe. Wyrażały radość, mówiono o tym, że walka zostanie wzmożona, że łatwiej będzie razem...

Pod koniec pierwszej części zebrania wszedł do pokoju Karol z chłopcami. Stanęli w szeregu we czterech. Karol trzymał automat w opuszczonej dłoni i szukał oczyma w kręgu siedzących sztywno robotników, przewodniczącego. Zameldował o tym, że alowcy zaciągnęli łańcuch posterunków ochronnych. Przestaliśmy być żołnierzami Gwardii Ludowej. Do szeregów naszych dołączyli wtedy chłopcy z oddziałów bojowych RPPS. W lasach lubelszczyzny i kieleckiego żołnierze Batalionów Chłopskich, którzy uprzykrzyli sobie dowództwo oficerów akowskich, stawali się „zdrajcami narodu" podejmując wspólną walkę z partyzantami Gwardii. Wtedy na Woli robotnicy fabryk warszawskich podjęli trudną pracę rozkopywania miedzy usypanej nie ich rękoma na polu wspólnej walki.

Słowo „jedność" stawało się wymierne. Oznaczało ono: więcej karabinów, które nie spełniały komendy: „do nogi broń", więcej dłoni wgniatających ładunki plastiku pod szyny, pod dudniące koła niemieckich transportów. Słowo to oznaczało wreszcie, że potrafimy jeszcze o kilka dni, tygodni czy miesięcy przybliżyć dzień zwycięstwa, to znaczy uratować od zagłady tysiące istnień ludzkich.

Nic bardziej oczywistego.

Mam przyjaciela, który jest malarzem.

Przyjaciel mój mówi: „Czasy są dla nas niedobre, żyjemy w epoce wielkich przemian, nie ma spokoju. Kogo obchodzi moje malarstwo, jak mówisz, bardzo intymne i pełne miłości do rzeczy tak błahych jak piękno kobiety czy pejzażu. Kiedy idę z kasetą do mojej pracowni i mijam po drodze wielkie budowle pełne gwaru i odgłosów pracy, oplecione kratownicą rusztowań ,czuję swoją absolutną nieprzydatność, wstydzę się"...

On, oczywiście nie ma racji. Tłumaczę mu to tak jak potrafię. Zbywa mnie gestem zaprzeczenia i trwa przy swoim: „Myślę o czasach, kiedy na przykład takie wydarzenie jak wyhodowanie drogą skomplikowanych eksperymentów gatunku róży, której płatki miałyby kolor kobaltu, rozumiesz... kiedy takie wydarzenie nie stałoby się tylko sensacją dla gazet ale świętem. W takich czasach ja bym znalazł miejsce dla siebie. Nie umiem walczyć, ukochałem rzeczy błahe, to jest moje kalectwo".

Marzenie jego nie wydaje mi się niedopuszczalne. Ja też pragnę, aby takie czasy nastąpiły. Oczywiście, niebieską różę traktuję jako symbol dobrany zresztą nie nazbyt szczęśliwie i prymitywny. Któż z nas nie ma podobnych pragnień? Jaki byłby sens cierpień i walk, które były i są naszym udziałem, gdyby celem ich nie był „rozśpiewany jutrzejszy dzień"? Za tę sprawę walczą skośnoocy, obdarci żołnierze chińskiej Armii Ludowej, partyzanci greccy, malajscy kulisi, francuscy górnicy, republikanie hiszpańscy.

Aby czasy te, o których marzy mój przyjaciel, zbliżyć, zwiera ostatecznie swoje szeregi polska klasa robotnicza, sumując siły zawarte w jej łonie, tworząc jedną partię. Pojęcie „zjednoczenie" jest wymierne. Oznacza ono: szybszą odbudowę kraju, szybszy marsz ku socjalizmowi. Oznacza ono, że bardziej wzmocnimy międzynarodowy front walki z imperializmem i przybliżymy dzień ostatecznego zwycięstwa. Nic bardziej oczywistego i napawającego radością.

Bohdan Czeszko

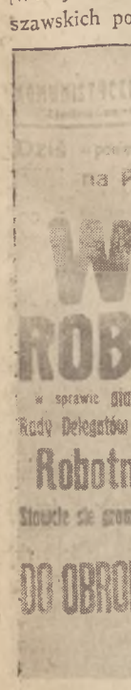

Pierwsze dni istnienia KPRP — 1918 r.

WIKTOR WOROSZYLSKI:

Widziałem śmierdzącą, zawszoną, sterczącą rozdętymi brzuchami głodnych dzieci nędzę chłopską, widziałem tchnące pleśnią i gruźlicą jaskinie rodzin robotniczych, widziałem pełzających i sprzedających się, jak prostytutki, ludzi pracy umysłowej. Widziałem to w przedwrześniowej Polsce, rządzonej przez agentów Standart Oil i już po wojnie, w roku 1946, w znanym ze swego od lat niezakłóconego dobrobytu kraju Europy Zachodniej, rządzonym przez dobrych przyjaciół, wymienionych wyżej agentów. Jeżeli nie wiecie, jak na imię temu, co widziałem, odpowiem wam krótko: kapitalizm.

Nie łezka filantropa wywleka na światło dzienne tego rodzaju wspomnienia. Dziedziczni proletariusze z mlekiem matki poznają prawa walki klasowej. Nam, urodzonym gdzieś w okolicy faszystowskiego przewrotu majowego, synom przestraszonych mieszczańskich inteligentów, dopiero ostatnia wojna wetknęła w dłoń narzędzia pracy proletariackiej. Nie było jeszcze za późno, żeby nauczyć się spojrzenia na świat tej właśnie klasy. Dziedziczni proletariusze przywitali nas, gdyśmy podjęli wraz z nimi walkę po jedynie słusznej stronie barykady.

Widziałem także inne fakty.

Widziałem Franka Ziębę ze wsi Stara Wola, który w roku 1945, w wieku lat osiemnastu, po raz pierwszy przekroczył próg szkoły powszechnej i jego młodszego brata, który jesienią 1948 roku wiedział już na pewno, że żadne przeszkody nie powstrzymają go przed nauką w gimnazjum czy na uniwersytecie. Widziałem gruntowny remont osiedla robotniczego w porcie szczecińskim, przeprowadzony kosztem milionowych inwestycji przez Centralę Zbytu Przemysłu Węglowego. Widziałem inżyniera, który na starość zyskał radość życia, otrzymawszy możliwość twórczej pracy. Wszystko to widziałem w Polsce Ludowej, a na imię temu: droga do socjalizmu.

Mam się wypowiedzieć na temat Kongresu Zjednoczeniowego. Ale jeszcze jedno imię musi tu wpierw zostać wymienione. Imię Partii. Kiedy odbudowują się miasta i wsie, kiedy rośnie przemysł i rozwija się rolnictwo, kiedy życie z każdym dniem jest lepsze, pełniejsze, bogatsze — rozumiem: Partia. Kiedy żelazna miotła wymiata z urzędów i stanowisk biurokrację, korupcję, oschłość wobec prostego człowieka — wiem: Partia. Kiedy po wieczorze autorskim w Olsztynie robotniczy słuchacz dyskutuje ze mną o poezji i wysuwa postulaty — napiszcie poemat o spółdzielni produkcyjnej, napiszcie wiersz, piętnujący sabotażystów — czuję: Partia. Czuję, rozumiem, wiem — i jestem dumny.

Mam się wypowiedzieć na temat Kongresu Zjednoczeniowego. Cóż, o drodze do socjalizmu tomy można pisać! Można też powiedzieć po prostu: Kongres Zjednoczeniowy jest olbrzymim krokiem, ważkim krokiem naszego kraju ku socjalizmowi — a uświadomienie sobie sensu tego zdania również zapiera dech, jest jakby błyskawicą, oświetlającą drogę.

Więc pozostaje mi jeszcze jedno. W ciągu czterech lat, jako członek Polskiej Partii Robotniczej, starałem się nigdy nie zapominać, że to nie tylko zaszczyt, ale przede wszystkim obowiązek. Należenie do Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej jest dla mnie podwójnie zaszczytne. Zdaję sobie sprawę, że nakłada podwójne obowiązki. Myślę, że, jako pisarz, powinienem wzmóc jakość swojej produkcji literackiej, powinienem nieustannie dbać, by była ona bliska klasie robotniczej, by odzwierciedlała dążenia, walkę i pracę czołowego oddziału klasy — Partii Robotniczej. Podnosząc mój poziom ideologiczny i artystyczny, żyjąc życiem klasy i partii, nigdy nie zapominając o leninowskiej zasadzie partyjności literatury — osiągnę ten cel.

Wiktor Woroszylski

Po konfiskacie nakład drugi. Cena za egz. 15 gr.
Rok II. Kraków - Bielsko - Czechowice - Lublin - Warszawa, dnia 13 marca 1927 r. Nr. 8.

ROBOCIARZ

ORGAN POLSKIEJ PARTJI SOCJALISTYCZNEJ LEWICY

Niech żyje Socjalizm! Niech żyje Rząd Robotniczo-Włościański!

Wojenna polityka Anglji.

„Wyrok" w sprawie pos. Wojewódzkiego.

Za pożyczkę obroża na szyję.

„Robociarz" — po konfiskacie nakład drugi (1927 r.).

EWA FISZER:

Wczoraj, w Klubie Młodych Artystów i Naukowców, odbyło się otwarcie rewelacyjnej wystawy prac malarskich górników. Sześćdziesięcioletni górnik Teofil Ociepka okazał się doskonałym, ciekawym malarzem. W ciągu dwu lat istnienia Klubu nie zdarzyło się w nim jeszcze nic równie sensacyjnego. Niemniej jednak część uczestników otwarcia ograniczyła się do „tradycyjnego" poklepywania po ramieniu samorodnych artystów. Stosunek do tych świetnych malarzy dałby się w skróceniu tak przedstawić: „Jak to dobrze, że ci dobrzy górnicy nie piją po południu wódki, tylko tak ładnie malują". Gdzie jak gdzie, ale szczególnie na tej wystawie stanowisko takie było nie tylko rzeczowo niesłuszne, ale ponadto wyraźnie przepojone całą długoletnią tradycją drobnomieszczańskiego stosunku do wszelkiej nie opatrzonej oficjalnymi stemplami twórczości kulturalnej, pełnego lekceważenia i poczucia wyższości. Ta obrona „oficjalnej", uznanej produkcji kulturalnej przed tym wszystkim, co spontanicznie zrodziło się w środowisku robotniczym i chłopskim, była niewątpliwie tylko jednym z odcinków szerokiego frontu obrony klas posiadających przed naporem rosnących sił proletariatu. I dlatego to wszystko, co na odcinku kulturalnym było ich wyrazem, spychano na trzeci, czwarty plan i opatrywano etykietką amatorszczyzny — mocno ograniczającą możliwości rozwoju.

Niestety przetrwało to i owo z dawnych czasów aż do dzisiaj. „Nawet członkowie partii" — jak mówił tow. Prezydent na ostatnim plenum KC — „ulegają oportunistycznej tendencji przystosowywania się do mentalności i przesądów drobnomieszczańskich zamiast aktywnego ich zwalczania i przezwyciężania".

Ta wypowiedź świadczy o tym, że Zjednoczona Partia zerwie nareszcie definitywnie ze wszelkimi reformistycznymi, drobnomieszczańskimi i oportunistycznymi pozostałościami w naszym stosunku do kultury. I dlatego wspomniałam o Teofilu Ociepce.

Ewa Fiszer

Pierwszy Maja we wspólnych szeregach

JACEK BOCHEŃSKI:

Jak olbrzymia jest waga polityczna Zjednoczenia Partii Robotniczych, jaki wpływ będzie miało zjednoczenie na rozwój gospodarczy kraju, na przyśpieszenie marszu do socjalizmu, na organizację kultury i oświaty, powiedzą inni lepiej ode mnie i nie moją rzeczą jest rozwodzić się na ten temat. Mam natomiast okazję powiedzieć, jak w naszym osobistym aspekcie, w aspekcie młodych artystów, wygląda zjednoczenie ruchu robotniczego.

Pokolenie, które reprezentuję, nie przekracza — z grubsza biorąc — 30 lat życia, nie mniej dorobiło się już wielu bolesnych epitetów. Mówiono o nim „pokolenie tragiczne" „rozdarte", a nikt nie wskazał, że pokolenie to ma także powody, aby nazywać się szczęśliwym. Myślę o młodzieży inteligenckiej, związanej z polityczną lewicą. Ja sam znalazłem się w niej dość wcześnie omijając polityczne manowce, które tak okrutnie dały się we znaki moim rówieśnikom, dzisiaj zresztą pracującym przy tym samym politycznym warsztacie. Nie o mnie jednak chodzi. Wszyscy przecież w jakimś czasie przebyliśmy mniej lub bardziej burzliwą, drogę do lewicy, do marksizmu, do partii, wszyscy musieliśmy przezwyciężyć mniejsze czy większe niepokoje wątpliwości, wszyscy do dzisiaj cierpimy po trochu na kompleks inteligenta szczególnie ujawniający się np. i trudny do przełamania w pracy pisarskiej. Nie ma co taić, tak jest. Z tej racji pokolenie nasze zasłużyło na ponuro brzmiące epitety. Lecz to jest tylko jedna i bardzo mizerna strona medalu. Druga wygląda o wiele radośniej. Bo my jesteśmy naprawdę pokoleniem szczęśliwym.

Przecież te wszystkie tragiczne przeżycia przeszliśmy na progu młodości razem z wojną i okupacją. To się dla wielu, dla znacznej większości już skończyło. Perspektywy zaś rozwoju i pracy na przyszłość są jak najbardziej optymistyczne. Rozbicie ruchu robotniczego w przeszłości było powodem że pewna uczciwa nawet część młodzieży inteligenckiej błądziła po omacku wśród wielu pseudosocjalistycznych utopii. Kto jednak wśród młodych pisarzy, intelektualistów, naukowców zdawał sobie z tego sprawę? Ilu dwudziestoletnich rozumiało, że „kulturalny" reformizm jest sprzymierzeńcem kapitalizmu i cichym współgrabarzem kultury a rewolucyjny marksizm jedyną realistyczną ideologią mas ludowych i właśnie motorem postępu kultury? Zjednoczenie partii robotniczych na bazie marksizmu-leninizmu rozprasza raz na zawsze te złudzenia i wątpliwości, tym bardziej że dokonywa się w momencie całkowitej kompromitacji wszelkich „trzecich sił". Uczciwi młodzi pisarze, intelektualiści i ludzie kultury, nie mają już dziś trudności w wyborze bo poza marksizmem-leninizmem inną jakąś ideologią może być tylko faktyczny kult planu Marshalla.

Być może więc, iż czeka nas życie bez załamań politycznych i kryzysów światopoglądowych — a to jest perspektywa, której nie miewały poprzednie pokolenia. Tamtym pokoleniom nie dane było również uczestniczyć w konstruktywnej, zbiorowej pracy nad budowaniem nowego ładu społecznego, gospodarczego i kulturalnego. Wysiłki tamtych szły na marne, wysiłki nasze przynoszą naoczne rezultaty. Widzieć sens swojej pracy — to też nie byle co.

Taka sytuacja przyjęcie określonego światopoglądu — wiemy o tym — nie pozwala nam bynajmniej zasnąć snem sprawiedliwych z Marksem pod poduszką. Roboty, ciekawej, wielkiej roboty w dziedzinie kultury mamy przed sobą dużo, niepokojąco dużo. I my tę robotę zrobimy

Jacek Bocheński

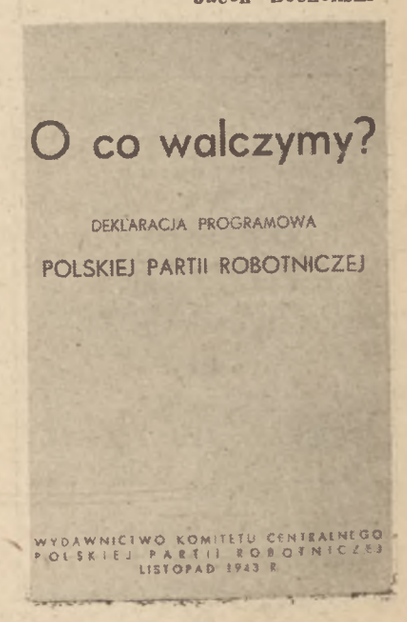

ZABAWA Z WÓDKĄ

TADEUSZ BOROWSKI

Wybaczcie, Towarzyszu Redaktorze, że zamiast artykułu kongresowego napisałem Wam krótkie opowiadanie o trzech facetach — o poecie Witoldzie Wirpszy, o tow. Staszku Szydłowskim (redaktorze „Szczecińskiego Głosu Ludu") i o mnie — którzy przez kilka dni chodzili wieczorami po szczecińskich zakładach pracy i rozmawiali z robotnikami o książkach, o bibliotekach, o literaturze. Opowiadanie moje powtarza prawie dosłownie przebieg takiego wieczoru na przedmieściu Szczecina.

Wydaje mi się, że nie trzeba do niego dopisywać żadnego artykułu. Rzecz jasna, że również dla nas, dla pisarzy młodszego rocznika, zmiana odbiorcy literatury oznacza zmianę nie tyle światopoglądu — żaden z nas nie został porażony marksizmem nagle jak Paweł Apostoł wiarą, lecz latami uczył się nim posługiwać — ile przekształcenie stylu i przyzwyczajeń artystycznych, oznacza błędy, niepowodzenia, próby, zawody, gorycze i nadzieje. Taką próbą jest także i to opowiadanie.

Żądając wraz z klasą robotniczą, aby w kraju, walczącym o socjalizm, każdemu zapewniono byt według jego pracy, pragniemy również wraz z nią dzielić pierwszy obowiązek socjalizmu: „każdy według swoich zdolności".

T. B.

Trzej faceci — jeden, tęgi i mały, odziany w kraciasty płaszcz i takąż cyklistówkę, nasuniętą na czoło, drugi, wysoki w czarnym palcie z oberwanym kołnierzem i w sportowych spodniach, trzeci przygarbiony, w kusym kożuszku, podbitym futerkiem i z książką pod pachą — przeszli na ukos przez szeroką, oświetloną nowymi latarniami ulicę i klnąc najgorszymi wyrazami zawieję, błoto i deszcz, skręcili w ciemny zaułek między kałuże, wyboje i gruzy. Jakiś czas brnęli w milczeniu, pociągając nosami i rozgniatając z mlaskaniem rzadką maź, wreszcie wyleźli na suchszy grunt i ominąwszy czerniejący koło chodnika samochód z wygaszonymi światłami, otoczony przez grupę apatycznych dzieci, jeden po drugim wsunęli się w otwarte drzwi Domu Kultury i weszli do świetlicy. W świetlicy na ścianach wisiały portrety Marksa, Engelsa i Bieruta, wiele ilustrowanych gazetek ściennych oraz wąskie paski z postępowymi hasłami. Poza tym od sufitu aż do podłogi zwisały wzdłuż ścian papierowe czerwone wstęgi, zmarszczone od starości. Pod ścianami na ławach kuliło się kilkoro rozespanych od gorąca dzieci, siedziało parę milczących matek z niemowlętami na łonie, a także kręcili się młodzi chłopcy i chichocące dziewczęta. Zza drzwi słychać było hałas z bufetu na półpiętrze, tupot okutych butów po schodach, śmiechy, piski i nawoływania. — Spóźnili się panowie o pół godziny — powiedziała kierowniczka zabawy z białą kokardką przy panieńskim kołnierzyku. Widać było z rumieńców, że zabawa podnieciła ją i odmłodziła.

— Przecież orkiestry jeszcze nie ma — powiedział tęgi facet w kraciastym płaszczu. Samotny ksiądz przechadzał się środkiem pustej świetlicy, podciągając dłońmi sutannę i wysuwając spod niej czubki lśniących kamaszy, starał się stawiać stopy wzdłuż jednej deski.

— Mieliście, panowie, wystąpić przed orkiestrą — powiedziała z wyrzutem kierowniczka zabawy.

— Ludzie poszli na wódkę? — zapytał wysoki facet w czarnym palcie. Przyglądał się uważnie scenie, na której stał goły stół i dwa składane krzesełka.

— Ludzie poszli na wódkę — powiedziała kierowniczka zabawy. Mali chłopcy, pokrzykując i szturchając się, przez otwarte drzwi wciągali do świetlicy wielkie ławy i ustawiali je przed sceną.

— Nie mogliśmy znaleźć drogi w ciemnościach — powiedział facet w kraciastym płaszczu, pokazując ochlapane spodnie.

— Do nas nikt nie może znaleźć drogi, a parafianie wódkę piją — powiedział ksiądz, przechodząc sztywno wzdłuż jednej deski.

— To może by lepiej dać spokój? — zapytał przygarbiony facet w kusym kożuszku, z książką pod pachą.

— Nie widzicie, panowie, że kazałam już ławki wnosić? — zapytała kierowniczka zabawy. Między ławkami chłopcy bawili się w berka. Kobiety z niemowlętami zajęły miejsca w pierwszym rzędzie i przegoniły chłopców.

Trzej faceci odeszli w kąt świetlicy pod gazetkę „Służby Polsce", aby się naradzić.

— Słuchajcie no, towarzyszu redaktorze, co ja u Boga Ojca mogę tym ludziom powiedzieć? — zapytał ze zniecierpliwieniem facet w kusym kożuszku, ogarniając oczyma salę, na którą wchodzili kupami młodzi robotnicy i ustawiali się pod ścianami. Dziewczęta sadowiły się wygodnie na ławach, kładąc torebki na kolanach. Samotny ksiądz nie przerywał przechadzki wzdłuż jednej deski, chodził teraz między rzędami ławek. Ponieważ facet w kusym kożuszku był krótkowzroczny, więc kolorowe plakaty na ścianach, postaci czarnych mężczyzn pod drzwiami, barwne, zarumienione dziewczęta widział niewyraźnie jak po pijaństwie.

— Rzeczywiście, oni przyszli tutaj zabawić się, potańczyć, popić, a nie kazania słuchać ani dyskutować z nami — powiedział facet w czarnym palcie.

— Co, do jasnej anielki, a ty byś zaraz chciał z nimi o egzystencjalizmie i socjalizmie? Mogliście, towarzyszu, na hucie kłócić się z robotnikami o „Quo vadis", mogliście na konfekcji gadać o bibliotece, której nie mają, to tu mówcie o wódce! To także należy do kultury! — powiedział ze śmiechem facet w kraciastym płaszczu, redaktor miejscowego dziennika partyjnego.

— Można raz tak spróbować — zgodził się facet w czarnym palcie.

— Nie zachowujcie się, jak stara aktorka, tylko idźcie, towarzyszu, na scenę, bo publiczności więcej się nie zbierze — rzekł redaktor do faceta z książką i klepnął go poufale po kożuszku.

— Prosimy — powiedział przechodząc ksiądz, i usiadłszy na ławie wśród dzieci, oglądał z ciekawością gazetkę, jakby ją widział po raz pierwszy.

Dwaj faceci zrzucili — jeden swoje czarne palto z oberwanym kołnierzem, drugi swój kożuszek — i wspięli się po schodkach na scenę. Facet z książką usiadł za stołem i położył przed sobą książkę. Poeta mocno ujął spoconą dłonią kant stołu i zmrużywszy oczy przed światłem, które go na chwilę oślepiło, powiedział kilka słów o facecie, który siedział za stołem, chwaląc sobie jego twórczość literacką oraz zawiadamiając o tym, co ten przyjezdny literat napisał. Potem rozejrzał się po świetlicy i zapytał, czy ktoś na sali czytał książki znanego literata albo słyszał od kogoś drugiego jego nazwisko. Nikt nie czytał, nikt nie słyszał, wszyscy czekali, co będzie dalej.

— No, dobrze, to się poznamy, obywatele — rzekł przyjezdny facet, podnosząc się zza stołu i zagryzając wargę ze zdenerwowania. Wsadził ręce do kieszeni marynarki i nogą odsunął krzesło aż pod ścianę. — Ja także nie wiedziałem, że wy zasypujecie piaskiem bagno pod stację rozrzędową, że także przekraczacie plan, nie wiedziałem, że macie własny Dom Kultury i zabawy z wódką w tym Domu.

— Dom przed miesiącem założyli, a wódkę wczoraj rano przywieźli dla tych chłopaków — odezwała się dziewczyna z tylnej ławki. Mężczyźni pod drzwiami roześmiali się na głos.

— No, dobrze — powiedział przyjezdny facet, gryząc do krwi wargę. Wziął książkę ze stołu i przeczytał z niej ze staranną dykcją jedno niedługie opowiadanie a potem kilka wierszy z kartki, którą wyciągnął z kieszeni. Potem powiedział: — A teraz chciałem pogadać z wami o tym, co przeczytałem, albo — jeżeli ktoś z was zechce — pomówimy o książkach, które przeczytaliście i które się wam podobały, lub też zastanowimy się razem, jakie książki należy pisać, żeby wam się podobały. No, kto powie pierwszy?

— Ja powiem pierwszy — powiedział młody ksiądz i przepchał się między ławkami do sceny. Chwilę się namyślał, patrzył kiwając głową na twarze ludzi, po czym powiedział donośnym głosem:

— Kochani parafianie! Bracia! Siostry! Uderzmy się pokornie w piersi! Nauczył nas podły, zdradziecki okupant pić wódkę i wszyscy my teraz, bracia i siostry w Chrystusie, wszyscy teraz pijemy wódkę! Natura ludzka jest taka słaba, a pokusa taka potężna! Ale, drodzy parafianie, gdybyż na tym zło poprzestało! Lecz na naszym przedmieściu, na które ludzie tam z miasta machają tylko ręką — burdy się dzieją, bijatyki i orgie! Przejść, przejechać spokojnie niesposób! I chociaż nie zaprosiliście mnie na poświęcenie tego waszego Domu, sam — jak widzicie — do was przyjechałem i mówię wam, że winniśmy wielką wdzięczność szanownemu autorowi za to, że przychodzi do nas, że pomaga nam zapomnieć o tych burdach za pomocą tego, co ładnie nam wszystkim czytał. Bo cóż znaczą wasze pieniądze i wasze dokonania w pracy, jeśli dobre imię stracicie? Jeśli zniesławicie imię polskiego i chrześcijańskiego robotnika? Pamiętajcie, że robotnik najpierw powinien pilnować swego honoru i kroczyć niezłomnie pod sztandarem cnoty, drodzy bracia i siostry, pod sztandarem —

— Czerwonym, bo na nim robotników krew — rzucił ze sceny przyjezdny facet, podnosząc się z krzesełka. Na chwilę zapanowała cisza, którą przerwał młody ksiądz, wycierając hałaśliwie nos.

— Nie będę się sprzeczał z szanownym autorem w tej smutnej materii — powiedział zniżając głos. — Chciałem tylko podziękować szanownemu autorowi i jego kolegom, że raczyli zejść aż do nas, że przybyli na nasze przedmieście, o które nikt —

— O, przepraszam wielebnego księdza proboszcza — przerwał mu ze złością przyjezdny facet, podchodząc do skraju sceny. — Nie przyszliśmy tu ze swojej łaski, ale z obowiązku i będziemy tu przychodzili coraz częściej, aż zostaniemy na zawsze. Dziesiątki naszych kolegów, wielkich, sławnych poetów i nieznanych, młodych literatów codziennie w całej Polsce rozmawia z tysiącami robotników w świetlicach, na fabrykach, w kopalniach, z chłopami w gminach, z nauczycielami w szkołach; codziennie pyta ich, jakich książek im potrzeba, jakich wierszy, jakiej muzyki; codziennie czyta im swoje piosenki i opowiadania; codziennie uczy ich, jak rozumieć i jak kochać książkę i codziennie sami uczą się od nich — od robotników, od chłopów, od inteligentów — jak pisać, żeby być rozumianym, o czym pisać, żeby być kochanym. Prawda, jedni czytają swoje wiersze tysiącom przodowników pracy, którzy słuchają ich ze wzruszeniem i z dumą, inni — jak my tu z wami — muszą użerać się z ludźmi, którym śpieszy się do zabawy z wódką!

— A pan byś nie napił się z naszym księdzem proboszczem? — zapytał mężczyzna pod drzwiami. Inni roześmiali się na głos.

Przyjezdny facet zamrugał krótkowzrocznymi oczyma. W zapoconym świetle mężczyźni, dziewczęta, dzieci i plakaty zlewały się w oleistą kałużę. Uderzył pięścią w stół i powiedział z gniewem:

— Więc co? Więc wy myślicie, że wam na to do śmierci pozwalać? Ja wiem, że dzisiejsza wasza zabawa to nie jest ostatnia zabawa z wódką, ale mówię wam, obywatele, i wierzę w to, co mówię i razem ze mną wierzą miliony ludzi w Polsce — że nadejdzie taki dzień, kiedy zakończy się tu ostatnia zabawa z wódką, kiedy przyjdziecie do Domu Kultury nie na wódkę, ale po pismo ilustrowane, nie na wódkę, ale po książkę, nie na wódkę, ale na dobrą muzykę, nie na wódkę, ale na wieczór literacki. I wtedy będziemy gadać sobie o literaturze, o bibliotekach — tak jak gadamy o tym teraz z waszymi kolegami na hucie, w elektrowni, u kolejarzy — i wtedy powiecie nam, jakich książek chcecie, czego żądacie od pisarzy, czego musicie się nauczyć. Może wam się to nie spodoba? Może niektóry z was nie zechce wziąć książki do ręki, wydać paru złotych na dobry teatr, posłuchać radia? Obywatele, zmuszą was do tego! My jeszcze teraz uprawiamy słabą partyzantkę kulturalną, ale po nas przyjdą inni, będą was przekonywać, będą wam tłumaczyć, zaniosą wam książkę do domu, wstawią radio do świetlicy, przyjdą z filmem, przyjdą z muzyką, przyjdą z dyskusją, pomogą wam zrozumieć, co i dlaczego dzieje się na świecie. Oni was zmuszą do kultury! Wasz kolega, który się pilniej uczy i więcej przez to zarabia, zmusi was do kultury! Wasza żona, wasza narzeczona, która się będzie wstydziła pijaka i analfabety, zmusi was do kultury! Nie dacie rady! Za nami i za nimi stoi zorganizowana polska klasa robotnicza, za nami i za nimi stoją setki milionów ludzi, którzy jak świat długi i szeroki walczą o chleb, wolność i oświatę. A kto stoi za waszą zabawą z wódką? Odpowiedzcie, obywatele!

Na chwilę zapanowała cisza. Potem zaklaskały kobiety i przyjezdny facet zabrał książkę ze stołu i zeskoczył ze sceny. Mężczyźni otworzyli drzwi na korytarz i do sali wraz z krzykiem i hałasem z półpiętra wdarł się podmuch świeżego powietrza, pachnącego deszczem. Przepychając się przez tłum weszła do świetlicy orkiestra i zaczęła próbować na scenie instrumenty. Trzej faceci założyli na siebie — jeden kraciasty płaszcz, drugi czarne palto z oberwanym kołnierzem, trzeci kusy kożuszek, podbity futerkiem — pożegnali się z kierowniczką zabawy wyszli ze świetlicy, wysunęli się jeden za drugim z Domu Kultury i ominąwszy czerniejący koło chodnika samochód z wygaszonymi światłami, otoczony przez grupę apatycznych dzieci, zeszli z suchszego gruntu w błoto. Jakiś czas brnęli w milczeniu, pociągając nosami i rozgniatając z mlaskaniem rzadką maź, oświetleni z tyłu latarniami przedzierającego się z trudem przez wyboje samochodu, w którym siedział skulony ksiądz.

— Specjalnie dla nas przyjechał — rzekł facet w czarnym palcie z oberwanym kołnierzem.

— Był pijany na sto dwa — odrzekł facet w kraciastym płaszczu i cyklistówce.

— Ale, dajcie spokój, towarzyszu redaktorze, nie każdy ksiądz musi być zaraz pijany — powiedział przyjezdny facet w kusym kożuszku.

— Mnie wystarczy raz popatrzeć, mam wprawę — powiedział redaktor. Zwolnił kroku i osłaniając kołnierzem twarz przed wiatrem, usiłował zapalić papierosa.

— Poza tym było go wódką czuć — rzekł zaciągając się dymem.

— No, dobrze, i co wyszło z tego? — zapytał z powątpiewaniem przyjezdny facet — Przyszliśmy po błocie, poszliśmy po błocie i co zostało? — Z błota się otrząśniemy, ale partyzantką nic nie zdziałacie, towarzyszu redaktorze!

— Powinieneś coś o tym napisać — rzekł facet w czarnym palcie. — Tobie łatwiej, bo jesteś prozaik. Wiesz sam: co my, poeci?

— A co ja? — powiedział niechętnie przyjezdny facet, wsiąkając głębiej w kusy kożuszek — Umiem robić koronki, a ty mi każesz bułki piec. Sam wiesz, jak to jest inna forma, inny temat, inni ludzie. Trzeba się na nowo fachu nauczyć, porzucić to, co zaczęte... Wiesz sam, że to trudno... Trzeba czasu, sił, chęci... Może kiedyś, jak się uzbiera...

Facet w kraciastym płaszczu i cyklistówce, nasuniętej na czoło, zatrzymał się na drodze i chwycił ich mocno za ręce.

— Zmuszą was, obywatele! — zawołał ze śmiechem. — Jeszcze rok, jeszcze dwa, a przyjdziemy do was z nowymi ludźmi! Dla nich będziecie pisać! Nie pozwolimy wam robić to, do czego was przyzwyczaili! Każemy wam tworzyć nową kulturę! Może wam się to nie spodoba. Za nami stoi polska klasa robotnicza, za nami stoją miliony ludzi, którzy na całym świecie walczą o chleb, wolność i oświatę. A kto stoi za waszą zabawą z kulturą? Odpowiedzcie, obywatele!

Trzej faceci — jeden w kraciastym płaszczu i cyklistówce, redaktor miejscowego dziennika partyjnego, drugi poeta w czarnym palcie z oberwanym kołnierzem, trzeci, przyjezdny literat w kusym kożuszku z książką pod pachą — roześmiali się na cały głos i wzajemnie sobie pomagając oraz klnąc najgorszymi wyrazami zawieję, błoto i deszcz zaczęli się przedzierać przez kałuże, wyboje i gruzy ku szerokiej ulicy, oświetlonej nowymi latarniami.

Tadeusz Borowski

KILKA MYŚLI O PARTII

(dokończenie ze strony pierwszej)

wstania zbrojnego. Zaś samo powstanie to nie miało charakteru nieobliczalnego kroku spiskowców i nie było także spontanicznym wybuchem nienawiści. Było ono taktycznie i strategicznie zaplanowanym, opracowanym według ostatniego słowa sztuki wojennej, zbrojnym wystąpieniem klasy robotniczej, opierającym się o szeroki, rewolucyjny ruch ludowy, wystąpieniem dla decydującej walki o władzę. Te nowe formy walki, które zrodziły się w trakcie pierwszej rewolucji rosyjskiej, wymagały przede wszystkim „organizacji i jeszcze raz organizacji". Nie mogłyby się one rozwijać, jeśliby nie istniał w ruchu robotniczym czynnik, zapewniający wielostronną organizację, przodującą myśl i rewolucyjny plan. Taki czynnik już wtedy istniał. Była nim „partia proletariackiej rewolucji", „przodujący oddział" i „najwyższa forma klasowej organizacji proletariatu" (Stalin).

Proletariat z racji swego wyjątkowego miejsca w kapitalistycznym procesie produkcji, z racji wyraźnej i zdecydowanej postawy społecznej wobec kapitalistów i wobec innych klas, z racji tych wszystkich jego cech, które szczegółowo rozwinięte i omówione były już w Manifeście Komunistycznym — był klasą o wysokich zdolnościach i możliwościach organizacyjnych. Było to ogólno - historycznym warunkiem, niezbędnym, aby zaistniał najbardziej zorganizowany ruch polityczny. Ale ujawnić się i zrealizować mogły te potencjalne możliwości historyczne jedynie w konkretnej historycznej sytuacji imperializmu, a dokładniej w sytuacji, jaką wytworzył imperializm rosyjski. Bo tam właśnie wobec wyjątkowego, jątrzącego splotu sprzeczności, proletariat okazał się klasą najbardziej rewolucyjną, najbardziej zorganizowaną i postępową.

Jednakże wszystkie te razem wzięte sprzyjające warunki nie mogły w sposób żywiołowy powołać do życia partii. Partia nowego typu nie mogła powstać jako automatyczny produkt historycznego procesu. Leninizm wielokrotnie dowiódł, że w procesie historycznym nie można liczyć na automatyzm, gdyż grozi to zmarnowaniem najwspanialszych możliwości historycznych. O zrealizowanie najlepszych możliwości historycznych trzeba walczyć z tymi wszystkimi siłami klasowymi, które się opierają realizacji tych możliwości. Toteż i o istnienie partii nowego typu w ruchu robotniczym trzeba było uporczywie i nieustępliwie walczyć. Burżuazji wręcz odpowiadało to, że wielkie socjalistyczne partie w zachodniej Europie były partiami „nie rewolucji a reformy", odpowiadał jej przemożny wpływ burżuazyjnej ideologii na te partie, wpływ, który przejawiał się i w strukturze organizacyjnej i w mentalności partyjnej. Burżuazyjna polityka broniła swych wpływów w ruchu robotniczym. Bronił się zaciekle i socjal-demokratyzm. Partia rozwijała się w ciężkiej walce, wobec nagonki wielkich i masowych partii socjal-demokratycznych. Walkę tę nieustraszenie podjął Lenin.

Bolszewicy byli pionierami w tworzeniu rewolucyjnej, marksistowskiej politycznej organizacji proletariatu. To, co powstało w straszliwych warunkach nielegalności i konspiracji pod obuchem carskiego terroru, miało być w pół wieku później organizacyjnym i ideologicznym wzorem dla partii politycznych mas uciskanych na całym świecie. Cele, jakie stawiał przed sobą nowy ruch, były ogromne i ambitne. Zamierzał on zbudować nowe społeczeństwo! Jeśli reformizm w określaniu ram swej działalności wychodził z założenia, że „historia robi się sama" a więc zadanie polega na tym, aby biec truchcikiem za jej wozem i podnosić spadające z niego ochłapy „w interesach klasy robotniczej" — to nowa partia wychodziła z założenia, że świadomy, zorganizowany, słusznie przewidujący bieg wypadków, ruch polityczny jest ogromną siłą „robiącą historię". Stąd wiara, że procesem historycznym można pokierować w sposób najbardziej odpowiadający interesom mas.

Partia jest jak armia przed wielką bitwą, gdy dowódcy przeglądają każdą jednostkę i każdego żołnierza z punktu widzenia ich wartości bojowych. Tylko, że działalność rewolucyjnej partii proletariatu jest stałą i ciągłą bitwą. Rozmaite rzeczy składają się na bojowość partii. Bojowość tę trzeba kształtować, o nią trzeba dbać. Na nowe jakościowe wartości partii składa się cały szereg zagadnień. Widzimy tu zagadnienie struktury organizacyjnej z zasadą centralizmu demokratycznego, zagadnienie obowiązującej dyscypliny, jako dyscypliny świadomej. Dyscyplina staje się przejawem zrozumienia słuszności dążeń partii i jej programu. Stąd wymaganie, aby w dążeniu do realizacji programu nie było wahających się i wątpiących.

O zwartości i bojowości partii decyduje także czystość moralna oraz wysoka etyka osobista i polityczna każdego członka partii. Partia jednoczy kobiety i mężczyzn, wykwalifikowanych robotników, i często niepiśmiennych, chłopów, nie umiejących się gładko wysłowić, oraz wykształconych inteligentów. Są to jednak najlepsi ludzie, gdyż muszą odpowiadać zasadniczemu wymaganiu partii: aby byli proletariackimi rewolucjonistami, aby razem z Partią dążyli do zbudowania ustroju socjalistycznego. Partia ta posiada cechy, których nie może posiadać żadna z poprzednich form organizacji politycznych, mianowicie jest ona zawsze wśród najszerszych mas, jest zawsze z tymi masami. Odrzuca wszelkie snobistyczne uprzedzenia wykształconych mieszczuchów co do zasadniczej reakcyjności „ciemnej masy", co do „reakcyjności" chłopów.

Partia wierzy w postępowy instynkt klasowy nie tylko klasy robotniczej, lecz także mas chłopskich, wyrobniczych, rzemieślniczych, ludów kolonialnych, wszystkich tych, których uciska imperializm i którzy z imperializmem walczą. I partia idzie do mas nie dorywczo, nie dla tej lub innej kampanii, a na stałe, zgodnie z głęboką zasadą marksizmu, że podstawą wszelkiego postępu jest walka mas ludowych o lepsze jutro. Toteż będąc najbardziej świadomym oddziałem klasy robotniczej partia zgodnie z nakazem Lenina idzie we „wszystkie warstwy społeczne" nie zrażając się żadnym zacofaniem, żadną ograniczonością horyzontu. Partia nie ma żadnych złudzeń co do tego, że sama może dokonać przewrotu społecznego. Długie lata walki i doświadczeń nauczyły partię nowego typu, jak słuszna jest wiara Lenina w masy, w talenty organizacyjne tkwiące w tych masach. Partia jest zawsze z prostym człowiekiem, w jego dobrych i złych czasach.

✦

Taka jest atmosfera moralna i taki jest stosunek do mas, z którymi partia podejmuje dzieło zdobycia sojuszników dla sprawy proletariatu. Reformizm ustosunkowuje się pogardliwie do „ciemnej masy". W polityce oczekiwania na automatyczne przyjście socjalizmu, sojusznicy nie byli potrzebni, masę chłopską określało się jako „reakcyjną z natury". Partia rewolucyjna, dla której masy chłopskie są współautorem przemian społecznych, szuka na wsi stałego i wiernego sojusznika. Przychodzi ona tam jako zespół agitatorów, propagatorów i wychowawców, z zamiarem, aby wzbogacić instynkt klasowy świadomością celów. Jednocześnie partia wychowuje sama siebie. Wszystkie strony działalności partyjnej składają się na to stałe wychowywanie swoich szeregów — i zebranie koła, i obowiązkowa dla każdego członka działalność społeczna, i czystka partii, i samokształcenie, i krytyka w każdym ogniwie partyjnym oraz samokrytyka, nie licząca się ze stanowiskiem. Dzięki temu partia staje się wielką wytwórnią działaczy, polityków i organizatorów. Mieszczą się w niej najróżniejsze temperamenty, drogi życiowe, najrozmaitsze biografie i fizjonomie psychiczne. Im głębiej do dołów partyjnych zejdziecie, tym większe bogactwo wewnętrznego życia partii ujrzycie. Byłam niedawno na jednej powiatowej konferencji. Konferencja, to przegląd wychowawczej, oświeceniowej pracy tej organizacji, którą stworzyli zebrani na sali prości ludzie.

Oto przemawia półtoramorgowy chłop. W PPR jest od 1942 r., przed wojną przez długie lata był członkiem tępionej i ściganej partii Komunistycznej Partii Polski. Przeszedł on wielką szkołę polityczną i dlatego gdy przemawia, słyszycie dojrzałego polityka, który ma swój odpowiedzialny sąd o tym, co się dzieje w Polsce i w powiecie, a także zrozumienie tego, dokąd powiat i Polska zmierzają. Spyta się Was później czy nie wiecie, co się stało z tą „miłą dziewuszką", która w 1935 r. zbierała ich po nocach w kamieniołomach i uczyła ich różnych ważnych rzeczy. Dzięki tym starym naukom rozumie on dziś, że PPR nie tworzy i nie wznieca sama walki klasowej, lecz wie także, że jego partia nie zda się na żywiołowy przebieg istniejącej walki, że do tej walki, będącej jednym z najbardziej namacalnych realiów w naszej rzeczywistości, ustosunkowuje się czynnie i świadomie. Kiedyś w kamieniołomach opowiadano mu, jak sobie radzi chłop radziecki z pozostałościami kapitalizmu. Uczono go też myśleć, jak trzeba walczyć o socjalizm w Polsce. Człowiek ten spokojnie stwierdza, że wszystko odbywa się tak, jak to wynika z logiki walki społecznej.

Wieś nie jest dla niego jednostajnym zespołem dobrych i złych sąsiadów i kumów. Słyszy on jak trawa rośnie w jego wsi. Ma doskonałe wyczucie walki klasowej, która w tej wsi pulsuje. To on z kolegami zdecydował, aby zainicjować w ich wsi wzorową spółdzielnię produkcyjną. Ma pod tym względem duże ambicje, pali się do tej sprawy i trzeba mu przekładać rozsądek, zastanowienie się i rozwagę.

A oto 20-letnie, gorące i gwałtowne chłopaczysko. To sekretarz organizacji partyjnej w dużym ośrodku górniczym. Skąd u tego górnickiego dziecka nawyki politycznego mówcy, wyrobienie oratorskie, płynność i poprawność wymowy, dojrzałość sądu, szeroka synteza polityczna obok spokojnej analizy zasadniczych elementów pracy partyjnej? Chłopak ten, to dziś już wychowawca mas, a przecież jego samego wychowała partia i to teraz, w ciągu ostatnich lat, bo przecież gdy przyszło wyzwolenie był jeszcze dzieckiem. Jest on przykładem tego, jak wychowuje partia, jaką potęgą wychowawczą jest ona dziś, gdy nie potrzebuje używać do tego kamieniołomów, gdy szkoli swych ludzi w jasnych aulach szkół partyjnych i na „szerokiej arenie wszechstronnej politycznej i społecznej działalności" — jak często powtarzał Lenin.

✦

Nauka Lenina i Stalina o partii nie da się sprowadzić do zbioru rygorów wewnątrz-partyjnych, nie jest to rzecz, która interesuje tylko członków partii. Sprawa **jaka** ma być rewolucyjna, marksistowska partia, to jest sprawa **jak i kto** pokieruje walką proletariatu i mas uciskanych, jest to sprawa tego, w jaki sposób i w jakim stopniu proletariat zdobywa sobie zaufanie pracujących ludzi miasta i wsi, jak zdobywa sobie w nich sojuszników. Sprawa partii, sprawa jej jakości bojowej zadecyduje, czy zasadnicze zwroty na drodze ku nowemu ustrojowi odbędą się w sytuacji najbardziej odpowiedniej i czy do pracy nad przyszłością będą umiejętnie wyzyskane wszystkie walory marksizmu, jako słusznej i słusznie przewidującej nauki o społeczeństwie. Sprawa partii jest jednym z najważniejszych, jednym z centralnych problemów społecznych. Partię nowego typu Lenin tworzył jako wychowawcę i organizatora i pierwszego przyjaciela ludu, tworzył ją jako sztab bojowy przemian rewolucyjnych, tworzył ją jako realizatora i kolektywnego budowniczego socjalistycznego ustroju. Już w ciągu pół wieku partie nowego typu w rozmaitych krajach, na rozmaitych kontynentach, dojrzały do tych trudnych zadań i zdają swój historyczny egzamin. Wszędzie gdzie działają, reprezentują one postęp i realizują żyjące w masach dążenie do socjalizmu, dążenie, które jest znamieniem naszych czasów.

Celina Bobińska

Nowość *Nowość*

W. DEEPING

MAŁŻEŃSTWO Z PRZEZNACZENIA

objętość 244 str. — cena 600.— zł

Polecа

KSIĘGARNIA

ZDZISŁAW GUSTOWSKI

POZNAŃ, ul. WIELKA 10

Do nabycia we wszystkich księgarniach

LUCJAN RUDNICKI

POWIEW WOLNOŚCI*)

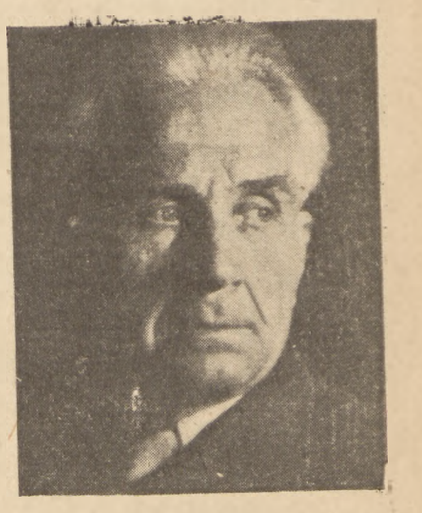

Lucjan Rudnicki — delegat na Kongres Zjednoczenia

Wiosna w roku 1905 rozpoczęła się wcześnie, bo już w styczniu. I nie przyniosły jej wiatry zachodnie jak co rok, lecz nieoczekiwanie, wbrew pesymistycznym przepowiedniom, przychodziła od północo-wschodu, z okolic, z których w dalszym ciągu miały płynąć na nas lodowate prądy ścinające wszelkie nadzieje wyzwolenia społeczno-narodowego. Wydawnictwa partyjne i propaganda żywym słowem urabiały w nas przekonanie, że Rosja zaborcza wzięta w dwa ognie przez Japończyków i robotników Polski, runie bezapelacyjnie.

Mówiło się często na zebraniach: wszystkie powstania nasze nie przyniosły wyzwolenia, bo liczono głównie na pomoc obcą, która zawodziła. Teraz liczymy na własne siły i na okoliczności, przy których obca siła zmuszona będzie walczyć z Moskwą tak samo jak my. Taka sprzymierzeńcza pomoc, wywołana koniecznością, nie zawiedzie. W myśl tych dowodzeń robotnicza solidarność międzynarodowa skrystalizowała się nam w solidarność z Japonią. W „dzielnym narodzie samurai" upatrywaliśmy rodzonych braci. Wznosiliśmy nawet okrzyki: Niech żyje Japonia! Niech żyje wojna! Nie dojrzeliśmy w obliczach „rycerstwa japońskiego" ryjów imperializmu nie mniej zachłannych niż mordy wilków carskich. Zresztą, nawet gdyby nam je pokazano, nie wiele by to zmieniło nasz nastrój, bo wierząc w nieograniczoną siłę własną, uważaliśmy Japonię za czynnik drugorzędny podporządkowany. Piłsudski z zagranicznym sztabem partii inaczej pewno określał ten stosunek, jadąc ofiarować przymierze sumurajom...

Jakie toczyliśmy wtedy dyskusje i polemiki tego nowet literatura archiwalna nie powie, gdyż obejmuje jeno zniekształcone ułamki ówczesnego życia. Faktem pozostaje, że czuliśmy mocny powiew socjalizmu, wyciągaliśmy do niego ręce zdobywaliśmy go po swojemu w walce strajkowej i wierzyliśmy, że samuraje nam w tym pomogą. Wprawdzie dochodziły nas słabe słuchy, że proletariat rosyjski sięga po władzę, że możemy mieć w nim najpewniejszego sprzymierzeńca, ale powagi partii z Ziukiem i Bajem na czele ostrzegały przed niewczesnym optymizmem: „Car tupnie i wszystko padnie na kolana, nie można rewolucyjnych grupek utożsamiać z Rosją, bizantynizm rodzi kontrasty, które trzeba znać, ale nie można na tym budować czegokolwiek — dowodził polityk realista, Aleksander Malinowski na VII zjeździe partii i wielu towarzyszy przyjęło to poważnie. I ja, widząc taką powagę (poczynając od wzrostu) zacząłem krytycznie analizować swe doświadczenia w Butyrkach i na zesłaniu.

I oto w dniach wzmagającej się żółtej febry japońskiej gruchnęła wieść, że car oszalał, że strzela do ludu, świętych chorągwi prawosławnych i własnych portretów, że w Petersburgu rewolucja. W ciągu dwóch dni wieść doszła do wszystkich zakątków Polski niezbadanymi drogami.

Gdy dziadzio Szukiewicz komunikował nam tę wiadomość w radosnym podnieceniu, obstąpiliśmy go kołem całą rodziną jakby w obawie, że się ulotni razem z archanielską nowiną. Rewolucja rozpoczynała się w stolicy zaborców, tysiąc pięćset kilometrów od Polski, a nam w Radomiu wzruszenie zatykało oddech. Wybiegłem na ulicę w gorączkowym pośpiechu jakby w obawie, że się spóźnię w wykonaniu ważnego zadania. Odczuwałem niezbędność mej obecności przy jakimś wielkim wydarzeniu, przy czymś takim jak pojawienie się drugiego słońca na niebie z nieobliczalnymi skutkami. Południe dnia dwudziestego czwartego stycznia, na twarzach publiczności radosne ożywienie. Czyżby wszyscy już wiedzieli o zbliżającej się nowej erze? Musiałem się trzymać, aby nie wyjść z siebie z radości. Chciało się rzucać czapkę i krzyczeć: niech żyje! Co? Mniejsza o to, coś wielkiego...

...Miałem być w Warszawie pierwszego lutego, postanawiam przyspieszyć wyjazd, ale muszę się przedtem zobaczyć z komitetami okręgu. Idę z powrotem do „sztabu". Otwiera mi Maria, która podobnie odczuwa powagę chwili. Bez słowa, w uniesieniu rzucamy się sobie w objęcia. Miłość nasza uwielokrotnia się tchnieniem rewolucji, ogarnia mnie jakaś wszechszczęśliwość, odczuwam ją nie tylko mózgiem ale i wszystkimi mięśniami. Mam dwadzieścia trzy lata, Maria osiemnaście. Serca zdrowe, nie wyskoczą. Widzimy oboje przed sobą ogrom pracy i czujemy dość siły do wykonania jej. Wystarczy przyjść, spojrzeć, by zwyciężyć.

Powodzenie rodzi powodzenie, pierwsze zwycięstwo — dalsze zwycięstwa, ale wiemy z doświadczenia, że dłuższa bezgraniczna przemoc i związana z tym niepohamowana dążność do wolności również potęguje poczucie pewności zwycięstwa. Wtedy mniemaliśmy, że wystarczy, by publiczność usłyszała nasze wezwanie a pójdzie z nami do szturmu...

Okazało się to nie takie proste. Przemoc i terror wywołują głębokie zmiany w duszach. Można ludzi przekonać, a oni po staremu będą tkwić w posłuszeństwie i uległości do ciemięzców nie tylko z tchórzostwa, ale i z bezwładności. Trzeba nadzwyczajnego impulsu, aby ich ruszyć, aby słowa prawdy budziły entuzjazm do nowej idei i gotowość do walki o nią. Dreszcz gniewu społecznego powstaje tak samo jak żywiołowy zapał w ataku piechoty po dłuższym ciężkim trwaniu na pozycji. I tu i tam ludzie zrywają się do szturmu w oszałamiającym uniesieniu. Biegną obalić wroga wszelkimi środkami. Wzniosły gniew tłumi wszystkie inne uczucia.

Widziałem i przeżywałem taki stan pierwszy raz w życiu w Warszawie w pamiętnych dniach strajku powszechnego w roku 1905, dwudziestego ósmego i dwudziestego dziewiątego stycznia. Strajk trwał dalej, ale ja opuszczałem miasto z walizą odezw dla swego okręgu.

Idąc po przyjeździe z dworca Wschodniego, najpierw po adres do zakładu fryzjerskiego na Marszałkowskiej, w pobliżu alei Jerozolimskich, a następnie, według otrzymanych wskazówek, do biura Centralnego Komitetu na ulicy Kredytowej (wtedy Erywańska), odczułem pierwsze tchnienie burzy historycznej. Ruch tramwajowy i w ogóle kołowy już wstrzymano. Środki jezdni na Krakowskim Przedmieściu, Nowym Świecie, w alejach Jerozolimskich, Marszałkowskiej były wstrząsająco puste, a w niektórych miejscach tak wąskie, jak dukty leśne wyrąbane w gąszczu zagajnikowym. Fale publiczności rozlewały się z obu chodników ku środkowi ulicy, tworząc łamaną linię jak brzegi rzeki w nizinnym terenie.

Z ulicy Ordynackiej wrzyna się nieoczekiwanie w masę ludzką ostatni dorożkarz z grubym spotniałym pasażerem. Powstaje wir nadbrzeżny. Powóz natychmiast otaczają ci, co dziś pilnują porządku z amatorstwa. Jedni wyrywają błyskawicznym ruchem lejce z rąk powożącego, drudzy obstępują burżuja, kurczącego się w skromności. Śmiech, zabawa jak w kabarecie:

— Co to, masz pan uprząż do naprawy?! — pyta wesoło jeden z operatorów, błyskając nożem.

— Panowie, jak Boga żywego kocham, bez numeru jade na Towarowe. Powiedział, cholera, chory jezdem...

Uwaga wszystkich skupia się na gościu. Proponują mu nosze. Dwaj młodzi „sanitariusze" robią pierwsze samarytańskie ruchy, żeby go znieść, lecz „chory", mimo tuszy, daje rączego nura w zator ludzki.

Marszałkowską od dworca Wiedeńskiego ku ogrodowi Saskiemu przelatują kłusem kozacy błyskając oczyma. Pędzą rozszerzającym się przed nimi pustym szlakiem w nieznane.

Między Sienną a Świętokrzyską jakiś nadzwyczajny ruch, słychać krzyki. To „patrioci" uliczni przy sprzyjających okolicznościach po swojemu czczą rewolucję. Rozbijają „moskiewski" magazyn. Walą kamieniami w „najazd". Publiczność zdezorientowana.

Mając przed sobą zadanie wycofuję się z niebezpiecznego odmętu. Idę Sienną ku placowi Wareckiemu, by Jasną dotrzeć do Kredytowej.

Nowe widowisko. Robotnicy oczyszczają gruntownie miasto. Z drugiego piętra domu na ulicy Wareckiej lecą z brzękiem i hukiem lustra, fajanse i kozetki. Uniesienie! Publiczność klaszcze w dłonie. Kończy się zaraza.

— Panbóg nie rychliwy, ale sprawiedliwy — stwierdza jakaś babcia.

— Wymiecimy śmieci! — dodaje ktoś w bluzie, prosto od warsztatu. — To najcięższa niewola!...

W biurze Centralnego Komitetu uroczyste podniesienie. Co chwila przynoszą towarzysze nowe wiadomości: „Na Pradze ruch kołowy zamiera, wszystkie zakłady pracy stanęły, zamykają sklepy."

„Na Czystem jak wydmuchał, święto, ani jednego stójkowego".

Wchodzi młodzieńczy, rozpromieniony towarzysz Wicek (Jan Rutkiewicz), którego znałem już z Łodzi i dzieli się dźwięcznym uszczęśliwionym głosem wiadomościami z Woli czerwonej, stojącej jak zawsze na czele robotniczej Warszawy.

Przedstawiam stan rzeczy w okręgu: W całym społeczeństwie, bez względu na różnice klasowe, powstaje żywe uczucie przyjaźni do ludu rosyjskiego. Wystąpienie Petersburga przesłoniło wydarzenia wojenne. Komitety czekają na zarządzenia.

Po krótkiej naradzie otrzymuję numery domu i mieszkania na ulicy Boduena, gdzie mam otrzymać w niedzielę o godzinie dziesiątej odezwę z deklaracją polityczną cekaeru oraz odezwę Radomskiego Okręgowego Komitetu Robotniczego wzywającą do strajku w dniu trzydziestym pierwszym stycznia.

Jest po siedemnastej. Mam zapewniony nocleg w narożnym domu w alejach Jerozolimskich przy Brackiej u sympatyka malarza, Stanisława Kunowskiego. Zbiera mróz. Wiatr zgarnia z dachów suchy śnieg otaczając latarnie woalem zadymki. Cisza jakby miasto oddech wstrzymywało. Chcę iść najkrótszą drogą, lecz nagle porywa mnie na Marszałkowską zawierucha ludzka. Za tętentem biegu i ściszonymi okrzykami ataku, płynącymi od Królewskiej, słychać brzęk tłuczonego szkła. Po kilkunastu sekundach widzę gęstą tyralierę młodych oberwańców. Są między nimi starsi, jest kilka kobiet. Wszyscy uzbrojeni w kije, pręty, łomy, kamienie, kawały zlodowaciałego śniegu, w nienawistną wściekłość. Ogarnęła i mnie furia, połączona z żądzą nieprzepartą niszczenia. Posypało się szkło z latarni przy Próżnej, pecyna lodu rozproszkowała auerowską koszulkę, kamień skręcił rurkę wylotu gazowego, pod silnym uderzeniem drewnianej maczugi latarnia opuściła bezradnie głowę. Sączył się z niej gaz ku dołowi nikłym płomykiem, jak stróżka krwi z rozbitego czerepu. Krzywda przelewa się przez próg wytrzymałości ludzkiej. Zdobyty przeze mnie kamień przy Próżnej trafia pierwszy w latarnię przy ulicy Rysiej. Hura! Precz z niewolą i wszelką podłością. Lecimy na skrzydłach gniewu milowymi krokami jak we śnie. Za chwilę wyłamują zuchy skrzynkę telefoniczną przy Świętokrzyskiej. Między Sienną a Złotą, gdy się rwiemy w ekstazie do wyważenia gołymi rękami dworca Wiedeńskiego, salwa karabinowa sprowadza nas do nagiej rzeczywistości. Jesteśmy bezbronni. W mgnieniu oka przemieniamy się z „bohaterów" w tchórzy. Pozostawiamy na bruku dwóch rannych czy zabitych rozpryskując się w podcienia jak szczury. Biegiem skręciłem w Chmielną. Na skrzyżowaniu z Jasną i Bracką zadudnił patrol kozacki. Wlepiam się we wnękę muru. Tonąc, podnoszę odruchowo ręce ku osłonie głowy. Fala przeszła. Wypłynąłem pewno dlatego, że byłem porządnie odziany. Wchodząc teraz bezpośrednio w krąg inteligencji, musiałem być podobny do niej zewnętrznie. W śródmieściu niebezpieczni byli tylko robotnicy z przedmieść, wyróżniający się z daleka odzieżą i ruchami. Gospodarowali oni tu teraz jak w lokalu burżuja, wyzyskiwacza i łotra. Kozacy „warszawscy" mieli duże doświadczenie uliczne

Dobrnąłem do celu. Brama z rozkazu policji była już zamknięta. Otworzył mi dozorca ze zdziwieniem, ale nie pytał „co uważam" lub „do kogo idę". Z wąskich okien pokoi kawalerskich na trzecim piętrze widać było płonące ogniska na jezdni alei, rozłożone w kilku punktach. Grzali się przy nich żołnierze oparci na karabinach. Warszawa stawała się wielkim biwakiem. Wstęp powstania. Wzruszenie hamowało oddech...

◆

W niedzielę dwudziestego dziewiątego stycznia 1905 roku chodziło mi jeno o to, by przenieść walizę z odezwami z ulicy Boduena na dworzec Wschodni i dostarczyć ją szczęśliwie okręgom: radomskiemu i kieleckiemu.

Na szczęście inżynier Boerner tak mnie przyozdobił zewnętrznie we wszystkich szczegółach, że mogłem uchodzić za syna zamożnych rodziców. Elegancki sakwojaż w ręku, otrzymany od towarzyszy warszawskich, jeszcze bardziej to podkreślał.

Wyszedłem ze śródmieścia koło godziny trzynastej. Było słonecznie i wyjątkowo ciepło, odczuwałem wiosenne powietrze pachnące ozonem. Widok Krakowskiego Przedmieścia przypominał stare obrazy batalistyczne. Kolumny piechoty ustawiały się szczelnie w podwójne bariery, przegradzające ulice wpoprzek. Tuż za pomnikiem Kopernika pierwszy kordon, przy uniwersytecie drugi. Pomnik Mickiewicza odgrodzono czworobokiem bagnetów poczynając od hotelu Europejskiego a kończąc w pobliżu Miodowej. Przecznice tak samo zatarasowane. I mimo to między przegrodami wojskowymi pełno publiczności, jeno nie tej zwykłej, przy niedzieli, lecz z przedmieść. Rzucało się to wyraźnie w oczy.

Na burzuazję słabszego serca padł przestrach. Wielu tchórzostwo zmusiło do odwagi. Z walizką najcenniejszych rzeczy, na wszelki wypadek, przedzierano się ku dworcom kolejowym. Nie ma odważniejszych od tchórzy, gdy im strach oczy rozszerzy. Oficerowie policji asystujący przy wojsku, przepuszczali ich ze zrozumieniem i współczuciem, publiczność robotnicza drwiła głośno:

— Patrzcie, i ten z piernikami do cioci!

(Z powodu strajku nie było chleba. Kto miał pieniądze kupował w cukierniach ciastka a później pierniki).

Otóż i ja w tym dniu upodobniłem się do piernikarzy, z tą jeno różnicą, że nie opuszczałem oczu wstydliwie, lub nienawistnie (i tacy byli) lecz śmiałem się na zaczepki jak wszyscy, co jednych gniewało jako bezczelność a drugich usposabiało do pewnej tolerancji: „I to dobre, że z humorem wieje"!

Praga tak samo zalana publicznością i wojskiem. Na ulicy Targowej trzy kordony. Przez dwa przeszedłem dość spokojnie, przy trzecim w pobliżu skrętu do dworca, zaatakowali mnie przemysłowcy uliczni z Pelcowizny.

Zaczęło się zwykłymi docinkami a doszło do barwnego portretowania mej rodziny. We wzrastającym sztucznym tłoku ujrzałem groźne niebezpieczeństwo dla cennej torby, którą trzymałem teraz oburącz przed sobą, co jeszcze bardziej wzmogło apetyty na nią.

Barczysty operator zaofiarował swe usługi kładąc jedną rękę na mym ramieniu przy kołnierzu, a drugą na walizie:

— Panie hrabia, odniese! Pół rubelka przy święcie!

Poniosło mnie, pociemniało w oczach od gniewu. Zapomniałem kim jestem, gdzie — i w jakich okolicznościach. Jedno tylko górowało: uratować skarb. Szarpnąłem się i odepchnąłem usłużnego energicznie torbą, krzycząc „Precz, bandyto! Obywatele, rabunek"!

Operacyjne zagęszczenie w koło mnie rozluźniło się znacznie, jakby w przygotowaniu placu do skoku decydującego. „Przemysłowcy" naprężyli gniewnie karki, ale jednocześnie robotnicy ze wszystkich stron podnosili głowy. Niżsi stawali na palcach, w kilku punktach ukazały się w górze laski rękojeściami do góry. „Operatorzy" z minami niewiniątek rozpuścili się wśród publiczności, patrzącej teraz na mnie drwiąco, jak na tchórza wzywającego pomocy z urojenia:

— Tee, kapelusz ci ukradli!

Ustępowano mi z obrzydzeniem, szedłem obelżywym szpalerem. Dojrzał mnie w nim policjant rewirowy, sterczący na chodniku przy łańcuchu wojska.

— Pan na dworzec? Proszę — powiedział chłodno z urzędową powagą, salutując przy tym niedbale. Dotknąłem się i ja ręką czapki: — „Dziękuję".

Przy kasie tłok, ale za srebrną czterdziestkę migiem otrzymuję bilet. Zajmuję przedział drugiej klasy (ostrożność konieczna) siadam koło szerokiej wystraszonej pani z gęstymi pierścieniami na palcach i kołami w uszach, do których można by przywiązać okręt. Jedzie nas sześcioro w przedziale. Wszyscy zmęczeni pieszą wędrówką po Warszawie i dłuższy czas mówią tylko o podobnych trudnościach w Radomiu i Kielcach po przyjeździe, a mieszkają daleko od dworców. Mnie nos błyszczy z powagi i uszczęśliwienia, wiozę drugą klasą spłonki, w postaci odezw, do wywołania wybuchu torującego drogę wolności. Myślę o planie i kolejności działania i wszystko układa mi się koło Marii. Uśmiecham się do siebie, nie wiem co ważniejsze, Marychna czy rewolucja, obiema jednakowo żyję. W końcu obie zlewają mi się w jedność. Ba, czuję się sam ich częścią integralną...

◆

Po powrocie z objazdu zastałem Radom w żałobie. W czwartym dniu strajku powszechnego skierowano gęsty ogień karabinowy do publiczności wracającej z wiecu odbytego pod Wacynem. W pobliżu urzędu gubernialnego padło dwadzieścia dwie osoby z kilkakrotnie większą ilością rannych. Była to żałoba bez przygnębienia, żałoba, jaką odczuwają żołnierze, walczący o swoją sprawę, grzebiący towarzyszy przed nową bitwą. Atmosfera nienawiści wroga i czci poległych objęła całą ludność. Nawet urzędnicy carscy nie mogli się pozbyć myśli o słuszności po naszej stronie. Nie czyniono też przeszkód manifestacji pogrzebowej i poprzestano na pogotowiu obserwacyjnym. Cały pułk piechoty pozostawał w ostrym pogotowiu, a kilka jego rot sterczało na zmianę w bramach domów. Miasto tchnęło imponującym spokojem. Nie rozmawiano nawet głośno na ulicach. Publiczność porozumiewała się szeptem, jak w mieszkaniu przy zmarłym, spoczywającym w otwartej trumnie. Żałobny nastrój uświetnił śnieg, obficie spadły w nocy. Z kominów, dachów, balkonów gzymsów, latarni zwisały uroczyste festony. Wielką pałszczyznę biel nakrywała ołowiana kopuła nieba.

Nocowałem u towarzysza Paca na Zamłyniu. Z nadmiaru wrażeń zasnąłem późno, lecz niezwykła jasność w pokoju obudziła mnie wcześnie. Okno w dwóch trzecich zasypał śnieg. Na parapecie zewnętrznym i poprzecznych szprosach piętrzyła się puszysta biel do połowy szyb, które w górnej części pokryte były zamrożonymi oprzędami śnieżnymi. Przez splot białych koronek majaczyły puszyste szczyty sokór przydrożnych, a hen w dali szary pas lasu łączył biel ziemi z jednolitą powłoką ciemnych chmur. Mimo szarzyzny nieba uroczysta jasność wzbudzała tęsknotę do rzeczy wielkich, nie przemijających. Przy tym nastroju spadł ze mnie zupełnie wczorajszy niepokój, powstały z poczucia odpowiedzialności za cier-

*) Fragmenty z II tomu „Stare i nowe" Lucjana Rudnickiego.

(Dokończenie na stronie siódmej)

ALEKSANDER WAT

O Lucjanie Rudnickim

„Stare i nowe" Lucjana Rudnickiego wywołało poruszenie wśród czytelników i literatów. Ta piękna książka, opowiadająca o pięknym życiu robotnika, który wyszedł z zapadłego ciemnogrodu na wielki szlak rewolucyjny, została uznana za „literackie odzwierciedlenie drogi polskiego proletariusza i dziejów polskiego ruchu robotniczego.

Przyznać jednak trzeba, że dla krytyki literackiej wypadek Lucjana Rudnickiego nie jest łatwy. Autor dwóch utworów, które dwadzieścia kilka lat temu przebrzmiały bez echa, nagle w sześćdziesiątym szóstym roku życia wydaje książkę, która zdaniem opinii i znawców godna jest konkurować z nagrodzoną powieścią Jerzego Andrzejewskiego! Oczywiście, budzi to zdumienie, chociaż na rozum biorąc, raczej należy się dziwić udałej powieści młodego człowieka: bo jest czas kwitnienia kwiatów, i to jest sprawą poezji, i czas owocowania — kiedyż to zresztą pisać powieści, jak nie wtedy, gdy człowiek osadził się w doświadczeniach i w mądrości? Więc w odpowiedzi na owe zdumienie nastręcza się krytykowi łatwa pokusa: przedstawić Rudnickiego jako wzruszający przykład nieuczonego „robociarza", samorodnego talentu, który nagle wybuchł na starość, jako „prymityw XX wieku", w najlepszym zaś razie jako „pamiętnikarza". Przeciwko temu właśnie najgoręcej burzy się sam Rudnicki.

Mam w ręku pouczającą książeczkę: zbiór recenzyj o „Starem i Nowem", starannie wyklejonych przez autora, z jego uwagami na marginesach. Uwagi Rudnickiego są — jak jego dzieło, życie i osobowość — trzeźwe, spokojne, mądre i skromne. Raz tylko jeden, nad jakąś złośliwą wzmianką, Rudnicki umieszcza tytulik: „kamienie żółciowe". Kiedy pewien wytrawny krytyk wplata w wianuszek zdawkowych pochwał powiedzenie Chestertona: że każdy człowiek może napisać jedną dobrą książkę — swój życiorys, Rudnicki pisze na boku: *„a gdyby tak bohatera opowiadania przedstawić w osobie trzeciej? „Literackość" utworu zyskałaby na tym! Przeżycia osobiste, przedstawione fikcyjnie, zrobiłyby ze mnie literata! Stempel bezpośredniości popsuł sprawę".*

Kiedy indziej dwoje krytyków wdaje się w polemikę na temat Rudnickiego. Owszem, oboje zachwycają się książką. Na początku stwierdza się, że jest ona „świetnie napisana pod względem literackim". Ale zaraz potem wylania się z recenzji tenże prymitywny robociarz-samorodek, którego wita się właśnie dlatego, że jest pozbawiony „drogiego nam wszystkim osocza tradycji literackiej", właśnie na przekór „naszej miłości do Flauberta i Balzaka". „I cóż stąd, woła recenzent że (Rudnicki) jest pozbawiony naszej bizantyjskiej finezji. Tym lepiej". *„Nie lepiej"* prostuje na marginesie Rudnicki, *„musimy się tylko umówić, co jest finezją".*

Oczywiście Rudnicki nie reklamuje dla siebie bizantyjskości, ale i Balzac i Flaubert nie są chyba bizantyjscy?

W polemice stwierdza się: „fakt, że książka Rudnickiego nie mieści się w tradycyjnych określeniach realizmu i nie nawiązuje do typu twórczości Balzaka i Flauberta... jest tylko prostą konsekwencją tego, że nie jest powieścią". W końcu zapada wniosek: „ładunek (treści) uczynił książkę Rudnickiego dobrym dziełem literackim, chociaż stoi ona poza tradycją świetnych i pouczających konwencyj literackich, z tego powodu mogłaby przy zastosowaniu ścisłych norm literackiej morfologii być wyprowadzana właściwie na margines literatury". (*„Jeżeli jest taki morfologista* — dopisuje Rudnicki — *niechby się od razu na Biblię powołał"*). To się nazywa sprawić pogrzeb pierwszej klasy! Tu nałogi formalistyczne i pedanteria szkolarskiego szufladkowania (nie mieści się w szufladce „Balzak i Flaubert", „finezja bizantyjska" — lu go na margines!) zaprowadziły recenzenta na same szczyty uczonego bałamuctwa.

Niechby sobie odczytał raz jeszcze choćby „finezyjny" powieściowy rozdział I „Starego i nowego"; niechby z treści książki wymiarkował, jaką ogromną i poważną pracę *intelektualną* przerobił jej bohater. Niechby pomyślał, jakiej trzeba kultury *powieściowej*, aby dzieje jednostki mogły być uznane za literacki obraz dziejów całej klasy. Niechby sobie uprzytomnił, jakie są inne „świetne i pouczające tradycje literackie" poza „Balzakiem — Flaubertem" i „finezją bizantyjską"; niechby sobie przypomniał bodaj „Wyznania" Rousseau'a i całą serię „Wyznań", „Spowiedzi" i powieści autobiograficznych. Niechby się też przyjrzał „finezyjnej" kulturze języka działacza robotniczego, Lucjana Rudnickiego, jego ciętości i celności (słusznie Wyka wspomina Fredrę), którą zawdzięcza i małomiasteczkowemu „wecowaniu języka" — jak stwierdza w trafnej i wszestronnej przedmowie do książki Andrzej Stawar — i niezliczonym improwizacjom przez przeszło trzydzieści lat na wiecach i zebraniach gdzie obraz, zdania, aforyzm, żart i słówko musiało mieć celność i siłę grotu — i, niemniej, wybornemu oczytaniu.

„Czytałem wszystko, powieści, pisma literackie" — opowiada Rudnicki w rozmowie — „ciągle czekałem, że ktoś napisze tę powieść, jaką sobie wyimaginowałem, muszę to i tamto przeczytać, może to bratnia dusza. Nie, to nie to. Więc w końcu sam napisałem". Pierwszą stronicę „Starego i nowego" napisałem już w 1928 roku, resztę po 19 latach". Nie tylko dlatego, że czekał, aby kto inny napisał*), i nie dlatego, że życie tego robotnika, działacza i konspiratora od czterdziestu lat było po brzegi wypełnione pracą polityczną, samokształceniową i zarobkową. Tu potrącamy o jedyną uchwytną różnicę między tzw. literatem zawodowym a Rudnickim. Rudnicki był działaczem, ale zawsze reagował jak prawdziwy powieściopisarz tzn. nie tylko posiadał wrażliwość, ale i zdolność przyjrzenia się swoim przeżyciom i światu, utrwalenia ich w obrazie i ruchu, wiązania w rytm, w ciągłość i w pełnię całości. „W obozie w Modlinie w 1917 r. mój temperament i energia nie mogły się inaczej ujawnić, więc uczyłem się francuskiego i niemieckiego i napisałem powieść „Odrodzenie". Ale „Odrodzenie" — jak słusznie stwierdza Stawar — było zanadto obciążone „konwencjami" żeromszczyzny i danilowszczyzny, „osoczem tradycji", i na pewno nie mogło zadowolić tego poszukiwacza prawdy. W latach międzywojennych powstaje tymczasem literatura buntownicza, Rudnicki nie bierze w niej udziału. Rewolucjonista Rudnicki jest pogodny i afirmatywny, w jego książce uderza miłość życia, która ją zbliża do „Colas Breugnon" i stanowi jeden z niepoślednich jej uroków. Ale nie jest to ważne — ważne jest, że: „ja nie umiem się inaczej wypowiedzieć *niż w pełni*, tak jak dusza czuje, a tu cenzura, ciągła groźba rewizji, więzienia". Oczywiście, zawodowy literat znalazłby wybiegi, ostatecznie sztuka literacka bywa w pewnym sensie sztuką kłamania, wiązania i rozwiązywania, wyobraźnię pisarza upodabnia się czasem do czarodziejskiego tygla, gdzie ciało Iksa, charakter Ygreka i przygodę Zeta łączy się w nową całość, gdzie stosuje się podobne metody, jak w obrazach Picassa — stąd może tylu jego entuzjastów wśród pisarzy. Brak tego jest i wadą, bo ogranicza możliwości pisarskie, ale i zaletą: bo nadaje wizji konkretność, konsekwencję i rzetelność. Wiąże się zaś ta niechęć do odrywania obrazu od jego powiązań życiowych nie z brakiem wyobraźni czy z prawdomównym usposobieniem, ale chyba z postawą moralną Rudnickiego, mówiąc konkretniej: z jego postawą klasową. Bo osobowość i dzieło Rudnickiego i jego życie mieści się i wyczerpuje w życiu jego klasy. Życie jego było przede wszystkim procesem budzenia się świadomości i mozolnym zdobywaniem prawdy, a świadomość jego i prawda osobista nie była niczym różnym od prawdy i świadomości jego klasy i w ten sposób staje się prawdą historyczną — cóż więc naturalniejszego niż troska pisarza o wierność w oddaniu takiej treści!

W stosunku do Rudnickiego używany przez recenzentów wyraz „awans społeczny" wydaje się szczególnie niewłaściwy. Nie awans, ale mozolne i dramatyczne wyrąbywanie sobie drogi kultury przez *robotnika - intelektualistę* wypełnia karty „Starego i nowego". Kto nie był, choćby w latach międzywojennych związany z ruchem robotniczym, kto nie widział, czym była książka, pismo, odczyt w środowiskach masowych, ten niełatwo sobie wyobrazi, jaką kulturotwórczą rolę odegrały na przestrzeni ostatnich kilkudziesięciu lat rewolucyjne partie robotnicze w budzeniu świadomości mas. „Nieraz mówi się dziś o rewolucji kulturalnej jako o skutku rewolucji politycznej... W pewnym sensie od tego się zaczęło" (z przedmowy Stawara). Ten przewrót umysłowy jest nie tylko bliższy, ale donioślejszy niż przewrót umysłowy naszej elity w w. XVIII. Co więcej, gdy nacjonalizm osiemnastowieczny był od razu uwikłany w paradoksach i sprzeczności z praktyką, racjonalizm robotniczy wynikał z praktyki i wnikał w nią, nie da się pomyśleć poza nią, myśli są tu realiami. Dzieje myśli rewolucyjnego robotnika Lucjana Rudnickiego są też dziejami jego życia, a opowieść o jego życiu jest powieścią o polskim ruchu robotniczym. Trudno w niej nie dostrzec i kultury dobrych tradycyj powieściowych, i summy dojrzałości życiowej, i owocu pięknego talentu.

Aleksander Wat

*) Skromność Rudnickiego: kiedy recenzentka robi z niego „ofiarnika rewolucji", Rudnicki tłumaczy, nie bez przekory: *„Nigdy w niczym się nie poświęcałem, robiłem to, co mi się bardziej podobało! Czasem podobał mi się nawet karcer w więzieniu!"*.

SZTUKA DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

GWIAZDKA DLA DZIECI MŁODSZYCH I STARSZYCH

Zacznijmy przegląd nowości od pozycji bynajmniej nie nowej, której jednak należy się wspomnienie choćby z racji minionego jubileuszu. Mowa o Konopnickiej i jej baśni *„O krasnoludkach i sierotce Marysi"* wydanej po raz pierwszy przed pięćdziesięcioma dwoma laty a wznowionej obecnie po raz siedemnasty w podwójnym wydaniu: popularnym i upominkowym, specjalnym (wyd. M. Arct — T. Zapiór, tekst opracowany przez St. Pigonia, il. J. M. Szancera). Epoka pozytywizmu wycisnęła na utworze swe piętno: staroświecka wydaje nam się dzisiaj, a jednak bądźmy szczerzy: książka ta do dzisiaj nie utraciła swego uroku, nie przestała być pozycją „klasyczną", która powinna znaleźć się w każdym dziecięcym księgozbiorze. Czy uległ przedawnieniu sens społeczny utworu, z którego wynika, że giną szkodnicy i sobki, a zwyciężają pracowici i ofiarni? Czy plejada najrozmaitszych „krasnali", które rozmnożyły się nadmiernie we współczesnych baśniach dla dzieci, może się równać ze świetnie zindywidualizowanymi typami krasnoludów, z ich zadzierzystością i sobiepaństwem? Czy łatwo nam w książkach współczesnych znaleźć tak organiczne zespolenia motywów bajki dydaktycznej i baśni ludowej, dosadnego realizmu z fantastyką?

Przypomnienie tej pozycji kusi do jeszcze jednej dygresji o charakterze gwiazdkowym. Jakież to książki leżały pod choinką w roku pańskim 1896 obok nowowydanej baśni o krasnoludkach? Oto one; jeśli pominiemy inne drobne utwory Konopnickiej: przede wszystkim Or-Ot — dużo małych dziesięciokopiejkowych książeczek w rodzaju „O Jasiu Dręczycielu i Józiu Gapicielu" lub „Bal i koncert u sikorki", następnie „Mała książeczka dla grzecznych dzieci" Kazimierza Glińskiego, a ze wznowień Czajkowskiego „Baśń o żelaznym wilku i pięknym królewiczu", Kraszewskiego „Bajeczki" i poczciwego Chęcińskiego wielokrotnie przedrukowywane „Malowanki" („... Widzenia rzecz warta, obrazek co karta i wierszyk ciekawy dla waszej zabawy"). Aha, i jeszcze nieodzowny zbiór wierszyków „dla nizin" pt. „Podarek dla dzieci ubogich". Wykaz niewesoły i jakże doszczętnie zapomniany...

Od tego czasu wielokrotnie rozlegał się dzwon na alarm w sprawie literatury dla dzieci i w dziedzinie tej dokonano więcej być może niż w wielu innych, a w chwili obecnej najlepsze wysiłki poświęca się walce z książką bezwartościową, a jednak — nie bądźmy zarozumiali. Rugowanie książki złej nie jest równoznaczne z powstawaniem książki dobrej i wśród tegorocznej, na ogół poprawnej produkcji jakże niewiele jest książek, które mają dane, by przetrwać i doczekać się wznowień. Literatura dla dzieci czeka na nowe, śmiałe pióro, ale trudno, tu nie starczy zawołać „Stoliczku, nakryj się".

Wśród tegorocznych, mniej obfitych niż w latach poprzednich wydawnictw gwiazdkowych zwraca uwagę pokaźna liczba książek, które śladem literatury dla dorosłych można by nazwać „pogranicznymi" — są to bowiem w istocie wierszowane pogadanki przybrane w osnowę fabularną. Założenie słuszne, tego rodzaju książki są potrzebne: rzetelne wykonanie zamierzenia i celowość wybranej przez autora formy decyduje tutaj o wartości utworu. Wzorowym przykładem tego typu jest pozycja przedwojenna wznowiona przez „Czytelnika" „Pan Tom buduje dom", obecnie skala tematyki poszerzyła się i obejmuje różne dziedziny życia. Stefania Szuchowa w wierszowanej opowieści o tym, jak „Staszek kupuje nowe buty" (wyd. Światowid, il. H. Gecow) sugestywnie przedstawia, jakim przeżyciem jest dla biegającego całe lato boso wiejskiego chłopca kupno nowych butów, jak wielka powoduje nim ciekawość „co to jest szydło, co to jest dratwa, co robi ręka a co maszyna, kto bucik kończy, a kto zaczyna". Grzeczny pan majster uświadamia chłopca, zdradza mu tajemnice swego warsztatu, swej poważnie i solidnie pojętej pracy. Książka żywa i przejrzysta zarówno w treści, w formie wiersza jak w rysunkach, warto by tylko skorygować w paru miejscach pisownię (mięka, nawyrost). Wierszowana opowieść Marii Malawskiej „O Jagusi co jagniątko miała (il. J. Beldowskiej) ma charakter regionalny. Dziecko miasta dowie się z niej, kto to jest juhas i baca, co to jest kierdel i strzyża, kiedy owce idą na hale, a kiedy schodzą i wreszcie jaką drogę przechodzi wełna poprzez fabrykę do kramów i sklepów targowych, zanim dziewczyna wiejska włoży tybetową chusteczkę i spódnicę w kwiaty. Wiersz płynny, łatwo dla dziecka przyswajalny, wiadomości rzeczowe wplecione naturalnie w tok akcji.

Nowa książka Ewy Szelburg-Zarembiny „Choinka rybackiego synka" (wyd. T. Zapiór, il. Beldowskiej) zawiera cykl wierszyków o morzu oraz cześć ściśle praktyczną: wzory ozdób choinkowych oparte na motywach rybackich (mewy, latarnia morska, okręt, herby miast); w ten sposób dziecko jeszcze poprzez majsterkowanie przeżywa tematykę morską, na której oparta jest treść wierszyków, „bożonarodzeniowych" w nastroju, zbyt czułostkowych w formie.

Dosyć już o utworach pogadankowych. Dziecko przeczyta z pożytkiem jeden lub drugi, ale po kilku naraz nawet w recenzji pragnie się odpocząć i przejść do — baśni. A jest ich kilka. Pierwsza z nich J. Bieniasza „W siedłach Wodnika" (wyd. T. Zapiór, il. Stobieckiego) utrzymana jest konsekwetnie w staroświeckim stylu baśniowym — dotyczy to zarówno treści jak ilustracji.

Jest w tej opowieści opartej na konwencjonalnym schemacie zacięcie narratorskie i wdzięk, który polega w największej mierze na naiwnej powadze, z jaką autor traktuje swój baśniowy świat. Mimo rezygnacji z oryginalności — jest pewna odwaga w tym oparciu się pokusie nicowania, ironizowania, unowocześnionej i nieraz sztucznej interpretacji literackiej. Niech będzie chociaż jedna „prawdziwa" baśń, którą można przeczytać, nie sięgając do Grimma.

„Pyza na Starym Mieście" Hanny Januszewskiej, ostatnie ogniwo, która w niedługim czasie będzie wznowiona w wersji nieco zmienionej cyklu „Baśń o wędrującej Pyzie", (wyd. T. Zapiór, il. Rychlickiego) — to poetycka opowieść o Warszawie, o jej popowstaniowych ruinach i o dawnej przeszłości wskrzeszonej w snach „małej łatki z ciasta" przytulonej w staromiejskiej kamieniczce. Jest tutaj i o flisach i o Kazimierzu, synu Zygmuntowym i o Kilińskim; opowieść znowu rozśpiewana jak wszystkie bajki Januszewskiej, bo chociaż „plon piosenki niebogaty, ale jest w niej to, co w nas, zryw i mrok, zryw — i blask".

Książka wydana prześlicznie, ilustracje graficzne interesujące, a pękata Pyza w czerwonej spódniczce przekroczyła nawet ramy książki i zdobi gwiazdkowe wystawy. „Pyza na Starym mieście" nie jest tak zwaną „łatwą" lekturą, może dzieci nie wszystko w niej zrozumieją, lecz jest to drugi godny przetrwania — obok Olczakowej „Jak się wszystko zmieniło" — poemat dla dzieci o walczącej Warszawie.

Żadna z wymienionych powyżej baśni nie była przeznaczona dla dzieci młodszych, żadna z nich nie odznaczała się formą lekką, przejrzystą, nacechowaną humorem. Zadanie to spełniają dwie opowieści o zwierzętach: B. Brzezibskiego „Bajka o pracowitym świerszczyku i lekkomyślnej mrówce" (wyd. M. Kot il. J. Karolak i A. Uniechowski), J. Porazińskiej „O kurczątku, które miało pięć matek" (P. Z. W. S. il. Janina Petry-Przybylska), oraz ostatnia książka Świrszczyńskiej. Pierwsza jest istotnie „bajką" o założeniu wybitnie dydaktycznym, z którego wynika, że lekkomyślne próżniactwo jest zgubne, a jedynie pracowitość i zapobiegliwość przynoszą pożytek jednostce i społeczeństwu. Książka napisana czterowierszem zaledwie poprawnym jest przepięknie ilustrowana przez dwóch dobrych rysowników, z subtelnym wdziękiem i w harmonijnie „złamanych" barwach i — trzeba dodać — jak na technikę offsetową przystępna w cenie. Nowa książka Porazińskiej przemyślana jest bardzo starannie pod względem literackim i graficznym. Jest w tej historii o pięciu kurkach, kurczątku i grubej gospodyni Agacie i dosadny realizm i niewymuszony humor i treściowe urozmaicenie (gdyż autorka wprowadza w tekst pięć opowieści opartych na motywach ludowych) i ciekawe rozwiązanie formalne (rekonstrukcja wyroku na kurczątko z osobno zasłyszanych fragmentów zdania). Zwraca uwagę doskonały zestrój rysunku z tekstem. Ostatnią z pozycji baśniowych jest wreszcie książeczka Świrszczyńskiej „O przygodach i igraszkach wesołego Pataląszka" (wyd. J. Mortkowiczowej, Kraków). Trudno o temat bardziej atrakcyjny niż wyprawa lekkomyślnego fryzjerczyka w egzotyczne kraje na papierowym koniu, który nagle ożył. Jest przedziwna bezceremonialność w połączeniu najbardziej nieprawdopodobnych przygód, które nawet sam rytm zdaniowy nakazuje traktować humorystycznie z bardzo poważną tendencją społeczną, która występuje w każdej z czternastu przygód Fipcia. Bowiem ten Fipcio jest prawdziwie demokratycznym bohaterem: jego pomysłom i poczynaniom przyświeca ideał polepszenia bytu ludzkości.

Czternaście przygód — i wyskakuje z nich — gotowy obywatel! W rekordowym tempie i na wesoło! Autorka korzysta z prawa stwarzania fikcji bez ograniczeń i póki utrzymuje się w stylu żartobliwie beztroskim, udaje jej się to doskonale, akcenty poważne i liryczne (tęsknota do Polski) wychodzą zdecydowanie słabiej.

Na zakończenie — trzy powieści dla dzieci starszych — jedna polska i dwie tłumaczone. Powieść Jadwigi Korczakowskiej „Pałac pod gruszą" jest jeszcze jedną książką z okresu okupacji. Powieść cechuje umiar. Panuje tutaj zdrowa atmosfera, ludzie pomagają sobie wzajemnie, chwilowe antagonizmy wyrównują się bez rażących uproszczeń psychologicznych, zarówno wśród dzieci miejskich jak wiejskich występują jednostki dzielne i uspołecznione. Mimo operowania gwarą, która ma podmalować koloryt lokalny, wadą powieści i to nie błahą — jest brak realizmu. Szlachetna tendencja humanitarna przeprowadzona jest w wymiarach tak idealnych, że nie ma tu miejsca ani na żywą charakterystykę (choć przebłyski jej widoczne są w postaci Krysty) ani na humor. Ton jednostajnie uczuciowy i konwencjonalna gładkość stylistyczna zacierają wyraziste kontury ludzi i zdarzeń, wszystko jest tutaj tak jak być powinno i nic ponadto.

Różnica ujęcia tematu wojennego występuje wyraźnie w zestawieniu z powieścią sowieckiego autora Eugeniusza Ryssa „Lenka szuka ojca" (wyd. „Książka"). Jest to opowieść o wędrówce i przygodach dwojga dzieci w czasie wojny radziecko-niemieckiej. Nie ma tu żadnego „czarnego charakteru", a jednak żadna postać nie jest papierowo wyidealizowana. Wątek sensacyjny został rozładowany w sposób psychologiczny i konstrukcyjnie świetny: rzekomy szpieg, przed którym dzieci uciekają, okazuje się przyjacielem, który został wysłany, by się nimi zaopiekować. Uderza tu to samo co u Gajdara: traktowanie na równi spraw dorosłych i dzieci, świeżość w opisach przyrody i najwyższa prostota stylu. Druga z książek tłumaczonych — chorwackiego pisarza Mato Lovraka „Dzieci Wielkiej Wsi" (Sp. Wyd. „Czytelnik", Biblioteka Młodego Czytelnika), odtwarza środowisko dzieci szkoły podstawowej na wsi.

Powieść Lovraka cechuje zwięzłość i oszczędność stylu, niemal skandynawska surowość, brak wszelkiej rozlewności. Książka artystycznie i z punktu widzenia społecznego ciekawa, choć dzieci nie uznają jej jako lektury pasjonującej.

Brak książek dla dzieci starszych jest doprawdy niepokojący, a konwencjonalne powtarzanie ogranych motywów świadczy o dekadentyzmie. Na powieść dla dzieci nie ma recepty. Sięgnąć śmiało, nie bojąc się ryzyka, po nowy temat lub na nowo odkryć temat stary, odrzucić narzędzia pisarskie stare i zużyte — oto jedyna droga.

Krystyna Kuliczkowska

NOWE KSIĄŻKI DLA STARSZEJ MŁODZIEŻY

ISTNIEJE cały szereg elementów, które stanowią główną siłę atrakcyjną literatury dla starszej młodzieży i które spełniają określoną funkcję wychowawczą w stosunku do odbiorców tego typu piśmiennictwa. Jednym z głównych elementów jest **przygoda,** która wywołuje zaciekawienie, dreszcz niepewności i emocji i pozwala na przedstawienie sprawności zręczności, odwagi i innych cnót młodzieńczej siły. **Motyw przyjaźni** wzorowany na rzeczywistości lat szkolnych, zagadnienie życia zespołowego i sprawy środowisk o różnym obliczu i charakterze, stanowią nie tylko przedmiot żywego zaciekawienia, ale mają ponadto moc kształcenia charakteru czytelników. Życie zespołowe w mniejszym lub większym zakresie prowadzi do zagadnień **walki:** walki ze sobą samym tzn. pokonywania wybujałości odruchów aspołecznych i nieetycznych, walki z przeciwnościami, wreszcie walki z wrogiem, tzn. obrony spraw i rzeczy stanowiących własność społeczną i powszechną. Zagadnienie walki z wrogiem to zagadnienie **wojny.**

Niezależnie od tematów i wątków szczególnie atrakcyjnych czy wychowawczo ważkich w literaturze dla młodzieży wysuwa się jeszcze sprawa fikcji i autentyzmu, nadających szczególny walor książkom. Elementy autentyczne podnoszą jeszcze wymowę elementu fikcyjnego, który tkwi w każdej książce i dodają uroku każdej przygodzie, każdemu zdarzeniu i wielu postaciom — przez to, że w dodatku tak było **naprawdę.** Tak jak powieść dla dorosłych posiada niewątpliwą i wielokrotnie sprawdzoną wartość kształcącą, tak tym bardziej powieść dla młodzieży powinna tę wartość posiadać, dostarczając wiedzy o człowieku i ludzkich środowiskach oraz o faktach społecznych, historycznych, przyrodniczych, gospodarczych. Oczywista ten zasób wiedzy musi być równie interesujący w swej treści i ujęciu, jak całość powieści.

Syntezą funkcji wychowawczej książki jest jej ideologia, którą młodociany czytelnik percypuje pośrednio przez rozumienie charakterów, postaw i posunięć postaci oraz bezpośrednio w wypowiedziach autora, który swój światopogląd formułuje. Ten morał, pointa utworu, względnie atmosfera w nim panująca, stanowią element najbardziej delikatny i najtrudniejszy do przeprowadzenia i do właściwego i realnego oddziałania nim na czytelnika.

Spośród szeregu książek, które ukażą się w najbliższych dniach, można wyróżnić kilka takich, które posiadają wyżej wymienione wartości. „Chłopiec z Salskich Stepów" Igora Neverly należy do powieści o bardzo skondensowanym wątku przygodowym, który snuje się na autentycznym tle ostatniej wojny i który posiada wiele cech zdarzeń prawdziwych. Tematem książki są dzieje rosyjskiego lekarza, który bierze udział w ostatniej wojnie i w partyzantce polskiej w okolicach puszczy Białowieskiej, a ponadto siedzi w kilku obozach koncentracyjnych (Komorów, Oświęcim, Majdanek). Neverly pisze w sposób lapidarny, szybko toczące się dramatyczne zdarzenia, trzymają uwagę czytelnika w napięciu, a całość zbudowana na prawach kontrastów, z niezwykłą ostrością i obiektywizmem pokazuje nagość życia, okrucieństwo jego prawdy. Z książki przemawia głębokie doświadczenie i przekonanie o możliwościach przezwyciężenia siebie, wytworzenia kultury wewnętrznej, zdobycia się na siłę, która pozwoli zachować poziom i godność w każdej sytuacji życia. Neverly widzi ostro zło życia, ale wierzy w jego pokonanie, nie szuka nietkniętego żadną plamą dobra, ale opiera swój optymizm na stwierdzonej jego przewadze nad elementami zła. Powieść Neverly'ego to powieść o przyjaźni i solidarnym współdziałaniu. Bohater walczy w polskiej partyzantce tak, jak walczył w swojej własnej armii. Miłość do Polski jest równie silna, jak miłość do ludzi, z którymi go los i wypadki związały. Neverly mówi w każdym miejscu swej książki o znaczeniu siły charakteru, odwagi, o konieczności posiadania ideału, o uporze, z którym należy walczyć o realizację wytkniętego celu. Jest w swoim opowiadaniu niezwykle prosty, używa pewnych skrótów zresztą nie zawsze łatwych do zrozumienia, a trzyma uwagę w napięciu nie tylko niezwykle ciekawą fabułą i wątkiem przygodowym, ale także opisem różnych ludzi (Rosjanie z różnych środowisk, wieś polska wraz z jej aktywem, Niemcy — wojsko, gestapo) oraz różnych światów (Rosja, Polska Niemcy).

Jest to książka mocna, żywa, w zasadzie bardzo optymistyczna — ale rodzi się wątpliwość, czy ten typ książki, książki, której tłem jest obóz i wojna z wszystkimi okropnościami i z całym jej cierpieniem, jest typem książki jeszcze potrzebnej. Dorośli odnoszą się do literatury obozowej i wojennej zdecydowanie negatywnie, młodzież, jeśli ją czyta, czy ją rzeczywiście czytać jeszcze powinna? Tego nie wolno traktować jako „przygodę wojenną", bo obciążenie tej „przygody" cierpieniem, które bezpośrednio dotknęło na pewno wielu młodocianych czytelników, wyklucza takie stanowisko. Dzisiejszy dzień wymaga trzymania wszystkich sił twórczych w pogotowiu, dzisiejszy dzień ma być spojrzeniem w przyszłość. Czy najbliższa przeszłość nie jest zdolna oddziałać destrukcyjnie i wprowadzić zbyt wiele wspomnień, cierpiętnictwa i medytacji? Te zastrzeżenia w niczym nie dyskwalifikują książki, która nie tylko ideologicznie jest pozycją bardzo dodatnią, ale posiada wszelkie walory talentu pisarskiego. Zastrzeżenie dotyczy celowości publikowania dziś jeszcze takich książek, tym więcej, że dobrych książek dla młodzieży jest mało.

Książka Marii Kann „Góra czterech wiatrów" też wiąże się z wojną, ale tylko z samym jej końcem i zdarzenia wojenne raczej pośrednio dotykają jej wątka. Rzecz dzieje się na Ziemiach Odzyskanych w okolicach góry św. Anny, a tematem jest pełna uroku przygoda gromady chłopców i jednej dziewczynki, którzy w pełnym poczuciu odpowiedzialności społecznej podejmują dobrowolnie ciężkie zadanie ochronienia i przekazania w stanie nietkniętym niemieckiego szybowiska władzom polskim. Autorka bohaterem czyni właściwie cały zespół, który konsekwentnie i bez kompromisu chce spełnić swój obowiązek obywatelski, i rzecz całą przeprowadza bardzo ciekawie, zarysowując indywidualne charaktery, ich walkę i ścieranie się. Mówi o trudnościach, o mądrej umiejętności postępowania z ludźmi i realistyczne podejście do postaci nadaje im plastykę, siłę i przekonywającą wymowę. Jasiek czy Hanek (mały Ślązak) to typy bynajmniej nie widziane przez różowe okulary. Prawda o nich jest gorzka, rola Jaśka w powieści — to częściowo rola „czarnego charakteru". Akcentem realistycznym jest zetknięcie się chłopców z Góry czterech wiatrów z demoralizacją i upadkiem wojennym starszego społeczeństwa oraz ciężkie straty osobiste, jakie dotykają jednego z chłopców lub zawód życiowy będący udziałem innego. Autorka wprowadza w bardzo szczęśliwy sposób w środowisko młodzieży (bardzo zróżnicowane społecznie, charakterologicznie i ideologicznie) kilka osób starszych. Z jedną grupą, jak już wspomniano, młodzi walczą — druga zaś jest sprzymierzona z młodzieżą i jej poczynaniami (lekarz ze szpitala wojskowego, Antkowa, energiczna i dobra chłopka, pan Michał i inni). Autorka słusznie robi, nie izolując młodzieży, nie zamykając jej w jej własnym świecie, w ten sposób życie jej i zadania stają się zadaniami o realnym znaczeniu społecznym, a nie są zabawą „na niby", prowadzoną w zamkniętym kręgu własnych, osobistych interesów. Młodzież pokonywa nie tylko trudności wyrastające w jej zespole, ale trudności i przeciwności życia zachowując postawę o wysokim walorze moralnym. Tło książki to Ziemie Odzyskane, Ślązacy z całym urokiem i specyficznością swojego folkloru. To dodaje powieści wdzięku, barwy. Szybownictwo pojmowane jako sport, jako zawód i jako środek oddziaływania wychowawczego, dostarcza pewnej dozy wiadomości fachowych, które powinny mieć siłę atrakcyjną dla czytelnika.

Książka posiada happy end optymistyczny, (charaktery w niej przedstawione przechylają się również w większości ku optymistycznej ocenie), czynnik cierpienia, właściwie zredukowany prawie do minimum i tutaj budzi się zastrzeżenie, czy ta książka nie jest znowu za optymistyczna? Młodzież współczesna przeszła wiele i z całą pewnością przeżyła więcej niż przypuszczamy, była, jest i musi być w twardej szkole życia. Czy zbyt optymistyczny pogląd nie spotyka się u czytelników z uśmiechem pobłażania, z jakimś odcieniem niedowierzania i wątpliwości? Niektóre fakty, które mogłyby się spotkać z tym zarzutem, wydają się jednak jakby narzucone autorce i nieco sztucznie w całość książki wprowadzone. Czytelnicy powinni w książce znajdować rzeczy sprawdzalne i dostępne ich własnemu doświadczeniu. W przeciwnym wypadku mogą pozostać niewrażliwymi na jej istotne i niepowszednie walory. Do walorów tych zaliczyć należy jeszcze prześliczne i szczęśliwie pomyślane związanie zdarzeń ze zjawiskami przyrody.

Urok przygody, która była naprawdę, i urok historii o człowieku, który był i jest własnością całego świata, posiada śliczna, mądra i w najszlachetniejszym tego słowa znaczeniu pouczająca książka Olgi Kuźniecowej o Pasteurze „Wróg pod mikroskopem". Autorka drobnymi, ledwo dostrzegalnymi liniami rysuje tło, wyczarowuje zapach epoki i w tej atmosferze buduje żywych, ciekawych, ruchliwych ludzi, nadając im wszystkie rysy humoru, śmiesznostek, ułomności, zalet. Pasteur jest jednym z nich najgenialniejszym, najszlachetniejszym, ale również niepozbawionym cech komicznych i wad. Przez to jest żywy i bliski.

Kuzniecowa podkreśla z wielkim naciskiem znaczenie i wartość pracy oraz społeczny pożytek, jaki daje nauka. Nie zapomina o ukazywaniu przeciwności, szczególnie tych, które wynikają z walk między ludźmi i z ich fałszywych ambicji, które nawet najsłuszniejsza i najszczytniejsza sprawa nauki ma do pokonania. Do najszczęśliwszych pomysłów powieści należy wkomponowanie wiadomości o odkryciach i teoriach Pasteura w sam wątek opowieści o jego życiu. Autorka czyni to tak, że czytelnik niepostrzeżenie zdobywa wiedzę przyrodniczą. Jest to jedna z najpiękniejszych książek, jakie się ostatnio ukazały wśród książek dla młodzieży.

Podobnie jak książka o Pasteurze, powieść Jerzego Bondana Rychlińskiego „Kulawy bosman" przynosi czytelnikowi mnóstwo konkretnych wiadomości o nawigacji w XVII w. Jest to powieść historyczna, w której występuje postać Krzysztofa Arciszewskiego z którą wiąże się szereg zdarzeń historycznych z tego okresu. Akcja toczy się przeważnie na statku a częściowo w twierdzy obronnej Wismar. Do elementów historycznych należy zaliczyć opis obyczajów pirackich. Bohaterem książki jest bosman Smętek, Polak, zajadły wróg możnych i szlachty, postać tajemnicza, pokraczna, człowiek obdarzony wielkimi zdolnościami, chytry, sprytny, mądry, zwolennik awantur, ważący się na wszystkie niebezpieczeństwa i niezwykłe przedsięwzięcia. Jest to postać tajemnicza, ludzie uważają go za czarodzieja, wyjaśnienienie przychodzi na końcu: bosman Smętek zbiera fundusze dla Krzysztofa Arciszewskiego, który chce stworzyć polską flotę handlową. Książka zbudowana jest w sposób, który zaostrza ciekawość czytelnika: tajemnicza postać bohatera, częste i niespodziewane przenoszenie się akcji z jednego miejsca na drugie, (co początkowo nie zawsze tłumaczy się dość jasno), żywe tempo toczących się wypadków, egzotyzm tła i ludzi (piraci), nawet język lapidarny i nieco ostry (miejscami jednak przesadzony i pompatyczny) stanowią o tym, że jest to książka ciekawa, żywa i może być pozycją nie najdoskonalszą, ale w każdym razie nie bez słuszności bardzo poczytną.

Do wielkich rzadkości należy poezja dla starszej młodzieży, publikacje w tym zakresie dotyczą zazwyczaj wyłącznie prozy. W tym roku jednak ukazał się tomik wierszy Ewy Szelburg-Zarembiny „Młodość", który czyni wyłom w dotychczasowej sytuacji. Zarembina daje tam szereg wierszy o treści ideologicznej, o formie bardzo zróżnicowanej, raz prostej i klasycznej, to znowu skomplikowanej, o zmiennym rytmie i rymie. Autorka wybiera trafną drogę przemawiania do młodzieży, unika bowiem morału i wskazań, natomiast mówi o rzeczach codziennych, zrozumiałych, a często niedocenianych lub niedostatecznie uświadomionych: o matce-przyjacielu, o pragnieniu gromady — budowania lepszego życia, o potędze człowieka i o jego małości, o bojownikach jutra, o ponętach, tkwiących w swiecie i w życiu. W cyklu wierszy o wsi, „Kopanie" stanowi obraz o kolorycie i nastroju wyjątkowo uroczym. Wiersze Zarembiny są upoetyzowaniem myśli o świecie i życiu, przekonań o jego celu i strukturze, a spośród nich jeden jeszcze wyróżnia się rozmachem i plastycznością — wiersz „Na nartach". Jest w nim ruch i pęd zjazdu i pełny zachwyt dla życia. Wiersze te mogą stanowić jedną z doskonałych dróg ku zrozumieniu trudniejszej w wyrazie i koncepcji poezji dla dorosłych.

Aniela Mikucka

W następnym numerze „Odrodzenia" ukaże się dalsze omówienie książek dla dzieci i młodzieży zarówno wznowień, jak i nowości, które nadeszły w spóźnionym terminie.

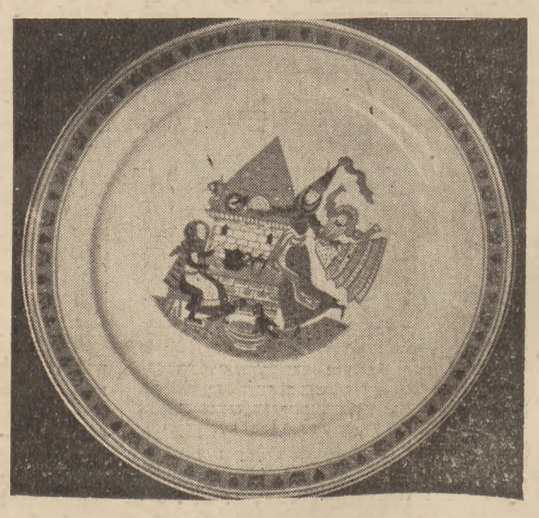

Piękna ceramika dla dzieci — Olgi Siemaszkowej

STANISŁAW GOGŁUSKA

KRONIKA FRANCUSKA

W PARYŻU ROK LITERACKI ZACZYNA SIĘ w październiku

OSTATNI kwartał roku kalendarzowego, a pierwszy literackiego stoi zawsze pod znakiem Goncourtów. W pierwszy grudniowy poniedziałek francuska Akademia Goncourt przyznaje swoją nagrodę, która decyduje o sławie i fortunie jednego z młodych pisarzy. Już na długo przed tym poniedziałkiem prasa literacka mówi o tym ważnym wydarzeniu i gubi się w przewidywaniach na temat nagrody. W świecie literackim panuje ożywiony ruch i podniecenie, tym większe, że obok tych najbardziej bodajże upragnionych laurów Goncourtów rozstrzygają się losy innych głośnych nagród, dzięki którym niejeden z młodych zdobywa swoje literackie ostrogi.

W roku bieżącym zaczęto mówić o Akademii Goncourtów dużo wcześniej niż zazwyczaj. Już bowiem w pierwszą środę października wybierano nowego akademika na miejsce zmarłego w lecie Rosny młodszego, nestora tej instytucji, którego jeszcze sam jej założyciel Edmund Goncourt umieścił na pierwszej liście „dziesięciu". Wybór ten dokonał się szybko i jednomyślnie. Na opustoszały fotel powołano Gérarda Bauera. Pisarz ten odpowiada wszystkim warunkom, które jeden z jego kolegów sformułował w tym zdaniu: „Artysta, mąż wszechstronnie wykształcony, erudyta, paryżanin, walczący krytyk, który byłby równocześnie pisarzem wyobraźni i dziennikarzem, w razie potrzeby polemistą, człowiek dowcipny i miły kompan, możliwie daleki od polityki i salonów — oto wymarzony Goncourt".

Kim jest nowy akademik? Nazwisko Bauera jest dobrze znane we francuskim świecie pisarskim. Jest on synem Henry Bauera, komunarda zesłanego za udział w Komunie paryskiej do Nowej Kaledonii, gdzie dziewięć lat musiał czekać na amnestię, literata i przyjaciela Clemenceau. Gérard Bauer rozpoczął karierę pisarską jako dziennikarz. Potem przeszedł do krytyki i powieści, ale zawodu dziennikarskiego nigdy już nie porzucił. Stał się mistrzem kroniki, gatunku pośredniego między reportażem a essayem, ginącego dziś i mało popularnego. Najgłośniejsze są jego „Les Billets de Guermantes", zbiór kronik, które Bauer pod tym proustowskim tytułem pisywał i dziś jeszcze pisuje w paryskim dzienniku „Figaro". Mimo swoich lat sześćdziesiąt bierze on czynny udział w życiu i pracach zawodowych organizacji pisarzy i walczy o ich prawa. W roku ubiegłym piastował godność prezesa związku literatów i był inicjatorem oraz gorliwym obrońcą projektu opodatkowania klasyków. Unika honorów i zaszczytów; w swoim czasie szeroko rozpisywano się nad tym, że nie przyjął wysokiego odznaczenia państwowego — Legii honorowej, której nie otrzymał jego ojciec. Gérard Bauer znany jest i ceniony przez wszystkich dzięki swej wielkiej uczciwości pisarskiej i osobistej oraz odpowiedzialności za słowo. Z tych wszystkich względów opinia literacka zgodnie pochwala decyzję Goncourtów.

W samym niemal momencie wyboru Bauera do Akademii opróżniły się równocześnie u Goncourtów dwa nowe fotele. Zmarł bowiem René Benjamin, a Sacha Guitry złożył na koniec dymisję.

Akademia Goncourtów została zatem zredukowana do ośmiu „nieśmiertelnych" i staje znowu przed ważnym problemem dokooptowania dwóch nowych członków. Ażeby wejść do tego szczupłego i ekskluzywnego grona, nie wystarczy sam talent pisarski. Bliskie współżycie akademików, częsta wymiana zdań i stała współpraca sprawia, że czynnik osobisty — ogólna sympatia kolegów odgrywa przy doborze członków ważną rolę. Wymaga się także, ażeby przyszły akademik brał czynny udział w życiu literackim i był znany z dobrego smaku i trafności sądu. W tej chwili jednakże nikt nie mówi jeszcze o nowych wyborach do Akademii, które prawdopodobnie odbędą się dopiero w roku przyszłym.

Nagroda ta do niedawna była jakby sygnałem otwarcia sezonu odznaczeń literackich w okresie jesiennym i zimowym. Jednakże już od roku zeszłego wyprzedza ją o przeszło miesiąc „nagroda czytelników", zaprojektowana przez dwutygodnik literacki „La Gazette des Lettres", a fundowana rokrocznie przez tysiąc czytelników tego pisma, którzy wpłacają po pięćset franków, by w końcu października wybrać spośród siedmiu kandydatów, przedstawianych przez komitet nagrody (dziesięciu pisarzy i krytyków), laureata.

Tegoroczną pierwszą nagrodę czytelników (400 tysięcy franków) otrzymał Jan van Dorp za „Flamand des vagues" („Flamandczyk znad morza"), drugą (100 tysięcy) Hervé Bazin za Vipère au poing" („Żmija w garści"). Wyniki głosowania czytelników skłaniają do wniosku, że skład tego największego z jury literackich pozostał ten sam, co i w roku ubiegłym, kiedy to na pierwszym miejscu postawiono powieść przygód, rzuconą na tło historyczne, na drugim zaś romans rodzinny. Czytelnik mieszczański czy inteligencki — wątpić bowiem należy, czy w głosowaniu tym brał udział choćby jeden robotnik — szuka nadal ucieczki od życia i pasjonuje się przede wszystkim powieścią awanturniczą, opowiadającą barwne wydarzenia.

A teraz parę słów o wyróżnionych pisarzach i ich utworach. Jan van Dorp nie jest rodowitym Francuzem, lecz Belgiem. Zamiłowanie do przygody skłoniło go wcześnie do wyboru zawodu marynarza, zanim ostatecznie nie wylądował w dziennikarstwie. W swoich podróżach przemierzył niemal całą Europę, podobno nawet otarł się i o Polskę. Dobrze zazwyczaj poinformowany tygodnik „Les Lettres Françaises" twierdzi, że pod tym pseudonimem ukrywa się redaktor pisma pronazistowskiego, który w okresie okupacji współpracował na terenie Belgii z Niemcami. Powieść van Dorpa, niemal pięciusetstronicowa, wprowadza czytelnika w mało literaturze znane środowisko marynarzy i korsarzy Ostendy w końcu XVII i na początku XVIII stulecia. Krytyka chwali żywość kreślonych postaci i wartkość rytmu opowiadania, zastrzegając się równocześnie, że autor tej awanturniczej par excellence powieści nie jest bynajmniej drugim Conradem.

Drugi z laureatów, Hervé Bazin, jest również debiutantem w dziedzinie romansu, choć zbiorek poezji „Jour" zdobył już mu „Nagrodę Apollinaire'a". Pochodzi on z rodziny pisarskiej, znanej w literaturze francuskiej. Pisarstwo jest drugim rzemiosłem tego handlowca z zawodu. „Vipère au poing" maluje atmosferę, panującą w klasie wielkich posiadaczy ziemskich w okresie międzywojennym. Życie rodzinne nie wygląda tu sielankowo. Wychowaniem dzieci kieruje matka — żmija, którą one ochrzciły przydomkiem Folcoche (pierwsze sylaby słów „folle" i „cochon"), wszczepiając w nie pogardę do całego społeczeństwa, przede wszystkim zaś do tych, którzy własną pracą doszli do majątku i znaczenia. Metody wychowawcze, jakimi się posługuje, są okrutne, gorsze niż w domu poprawczym. Nic dziwnego, że między nią a dziećmi rodzi się nienawiść coraz zawziętsza, nawet powstaje niedoszły zamiar matkobójstwa. Obraz matki, nakreślony przez Bazina, bardzo wnikliwy i oryginalny, jest jak najbardziej daleki od tak dobrze znanych z tradycji literackiej wizerunków matki idealnej. Powieść ta, napisana z dużym rozmachem, zapowiada wiele i świadczy o wielkim talencie pisarskim. Obnaża ona bezlitośnie „upadek tej moralności burżuazyjnej, która zachowuje jeszcze całkowicie zewnętrzne pozory, apelując do wszystkich źródeł jej hipokryzji" — pisał o tej książce zmarły w ostatnich dniach Louis Parrot.

W tydzień po decyzji czytelników, w końcu października, rozstrzygnęły się również losy „wielkiej nagrody powieści francuskiej", ufundowanej przez tygodnik paryski „Les Nouvelles Littéraires". Ten zapowiedziany już przed rokiem wielki konkurs zgromadził pięćset dziesięć rękopisów, spośród których dziesięcioosobowe jury z członkiem Akademii Francuskiej Duhamelem na czele zatrzymało zaledwie pięć. Fragmenty tych pięciu powieści, których autorzy pozostali nieznani aż do momentu rozstrzygnięcia konkursu, publikowało wspomniane czasopismo w okresie od maja do października. Obecnie po odsłonięciu anonimatu wydała je firma „Fortuny". Stawka, o jaką szło, była w tym wypadku wyjątkowo — nawet jak na stosunki francuskie — wysoka, nagrodę bowiem stanowił okrągły milion franków, który zapewnić może pisarzowi trzy lata spokojnej pracy, pod tym jedynie warunkiem, że nie nastąpi w tym okresie nowa dewaluacja.

Jakież były wyniki tej olbrzymiej imprezy? Jury po długich debatach postanowiło podzielić nagrodę „Les Nouvelles Littéraires", zatrzymane bowiem utwory reprezentowały na ogół poziom wyrównany, a różnorodność gatunków czyniła wybór tym trudniejszym. Kasjer musiał więc zniszczyć przygotowany czek na milion i zastąpić go trzema innymi. Tak więc Michel Mercier otrzymał czterysta tysięcy za „Spór z bestią" a Lucie Marchal i Gil Buhet po trzysta tysięcy za „Lont" i „Matkę Boską Wolności". Dwaj pierwsi laureaci są debiutantami, jedynie Buhet ma już za sobą dorobek literacki w postaci kilku powieści.

Postawiony na pierwszym miejscu „Spór z bestią" Merciera, lekarza z Marsylii, jest powieścią psychologiczną, w której na plan pierwszy wysuwa się charakter bohatera, studenta medycyny. Intryga jest nikła, a dwie postaci drugoplanowe — przyjaciel bohatera i uwiedziona przez tego ostatniego koleżanka z uniwersytetu — stanowią tylko pretekst, pozwalające zaobserwować jego reakcje na przyjaźń i miłość. Główna postać jest okazem zupełnego cynizmu wobec życia, potworem, odczuwającym żal, pogardę i nienawiść do całego świata — świata absurdu i do cywilizacji współczesnej, równie absurdalnej. W tym dziele intelektu autor odsłania oblicze młodzieży przedwojennej, a raczej pewnego jej odłamu.

„Lont" belgijskiej pisarki Lucie Marchal, żony holenderskiego lekarza z Amsterdamu, który umieszczono na drugim miejscu w klasyfikacji ogólnej, to powieść obyczajowa, tematem swym zbliżona do utworu Bazina, dramat rodziny, tym razem drobnomieszczańskiej. Despotyczna matka, przypominająca swymi rysami mauriacowską „Genitrix", tyranizuje syna i córkę. Przeciw tej tyranii buntuje się w końcu syn, który wbrew woli matki wprowadza do domu żonę-intruza jakby, burzącego spokój domowy, budzącego namiętności wszystkich samą swą obecnością i prowadzącego do ich wybuchu; jednakże ta rewolta nie trwa długo i stosunki między matką a synem wypogadzają się na nowo. Ale w ogniu tego konfliktu dojrzewa córka, która ostatecznie odchodzi z domu, zabierając z sobą żonę brata.

O ile te dwie powieści liczą niewiele ponad dwieście stron, to trzecia z nich, „Matka Boska Wolności", jest to „roman-fleuve", jak każdy szanujący się romans awanturniczy. Autor jej, księgarz lyoński Buhet został w roku 1930 wysłany przez szkołę handlową do Hiszpanii, gdzie przypadkowo wszedł w środowisko spiskowców walczących z monarchią i dyktaturą Primo de Rivery. W swojej książce maluje on te niezbyt odległe wypadki: przygotowania do rewolucji, abdykację Alfonsa XIII i proklamowanie republiki hiszpańskiej. Bliskość wydarzeń sprawia, że powieść ociera się czasami o reportaż.

Między krytyką oficjalną a masą czytelników istnieje głęboki rozdział. Głosowanie bowiem, w którym wzięło udział ponad jedenaście tysięcy czytelników, wysunęło na czoło spośród pięciu powieści utwór nie nagrodzony, dziewięćdziesięciostronicowy zaledwie romans młodego, bo dwudziestosześcioletniego malarza Jacques Le Gallois — „Walka o nasze trupy". Tematem tej książki są przeżycia deportowanego, który po powrocie z obozu koncentracyjnego nie umie znaleźć dla siebie miejsca w świecie powojennym i nie potrafi przystosować się na nowo do życia. W obozie zaszczepiono mu trąd; ta choroba nabiera w stosunkach dzisiejszych cech symbolicznych. Na powieść Le Galloisa padło 3.411 czytelniczych głosów. Za nią idzie „Matka Boska Wolności" — 2.272 głosów, „Spór z bestią" — 2.017, „Nimfa i chłopiec" Jean Biottière'a — 1.970 i dopiero na końcu „Lont", który otrzymał 1.961 głosów.

Takie są decyzje jury literatów i referendum czytelniczego. Jakież wypływają stąd wnioski o stanie współczesnej powieści francuskiej? Ten wielki konkurs był bowiem pewnym rodzajem sondy, która miała zbadać chorego, boć o chorobie francuskiego romansu mówi się już od dawna. Ale i tu sztuczne pobudzanie twórczości przy pomocy zachęcającego miliona nie dało pozytywnych rezultatów. Nie było rewelacji, nie odkryto arcydzieła. Nie widać odrodzenia powieści współczesnej ani przez nowe tematy, ani przez nową technikę. Żadna z powieści nie zasłużyła na milion, stąd lękliwa i kompromisowa decyzja jury. Obfitość nadesłanych rękopisów, wśród których można było odnaleźć wszystkie klasyczne gatunki powieściowe, świadczy tylko o pewnej żywotności romansu i zaprzecza przedwczesnym twierdzeniom, że wyczerpano już wszystkie jego możliwości.

Ogólne tendencje ostatniego roku charakteryzują wywody jednego z członków jury, powieściopisarki Germaine Beaumont: „Na podstawie tej lektury wydaje mi się, że patrzymy na powrót do równowagi, że widzimy zamiłowanie do tego, co prawdziwe, zdrowe i naturalne, a także dostrzegamy, być może, tendencję do niezwykłości. Jeżeli liczne rękopisy, i to nie najmniej interesujące, odzwierciedlają tragizm naszej epoki i noszą blizny okrutnych doświadczeń, to wiele z nich wyzwala się już spod brzemienia nieszczęścia, tęskni do lepszego jutra i wierzy w naturę ludzką, wcale nie tak spodloną, jak się mniema. Element chorobliwy i dziwaczny ustępuje i blednie przed rzeczywistością. Wyraźnie rysuje się nawrót do powieści opartej na obserwacji i do romansu psychologicznego. Prowincja dostarcza nadal różnobarwnego tła i oryginalnych charakterów. Na koniec miłość, która śmiało wypowiada swe imię, miłość codzienna, prosta, trudna, tragiczna lub pełna uroku pozostaje nadal ulubionym motorem ludzkich czynów i bierze górę nad kultem dziwactwa czy oszalałą pogonią za oryginalnością".

Stanisław Gogłuska

Książki • Książki • Książki • Książki • Książki

ESSAYE

„NOTATNIK OBSERWATORA"

Pawła Hertza

Essaye i artykuły. Łódź, Wydawnictwo Władysława Bąka, 1948.

Tom szkiców literackich Pawła Hertza „Notatnik obserwatora", zamknięty jest w ramach dwóch podróży (nie mylić z tomem poezji!). Pierwszy szkic to „Podróż sandomierska", ostatni — „Dziennik paryski", dziennik paryskiej podróży. Pierwszy pochodzi jeszcze z 1936 roku, drukowany był na łamach „Wiadomości Literackich", drugi nosi daty sierpień-wrzesień 1946 r., zamieściła go — o ile się nie mylę — „Kuźnica". Między 1936 a 1946 rokiem, między „Wiadomościami Literackimi" a „Kuźnicą" rozpięta jest zawartość tych szkiców. Dziesięć lat upłynęło między jedną podróżą a drugą, dziesięć lat — i jedna wojna. I jeżeli autor tomu zdecydował się umieścić na wstępie tę tak bardzo już odległą w czasie podróż — to zapewne także i w tym celu, aby od tego punktu wyjściowego wytyczyć drogę, którą przebył nie tylko on sam, ale wraz z nim i historia. Spróbujmy ocenić czy podróżnik dotrzymał jej kroku.

„Podróż sandomierska" jest podróżą w świecie kamienia i murów, barw i linii, sztuki i architektury. Jest to podróż w świecie historii unieruchomionej, zatrzymanej w czasie. Bohaterami tego niedziejącego się dramatu są: kościół św. Jakuba, zamek, „który nie wygląda już dziś tak romantycznie", katedra o przemiennych stylach z obrazem z początku XVIII wieku, „przedstawiającym mord rytualny w sposób dość realistyczny", ratusz „uroczy w swojej linii", ulice i bramy, domki i wille. Świat, z którego wykreślony jest człowiek. Aby być ścisłym: są także i ludzie. Oglądamy ich „w najbardziej reprezentacyjnym lokalu sandomierskim": „Więc przede wszystkim pewien starszy pan, zażywny i dobroduszny, ubrany nieco à la mode 1900, właściciel dwóch tłustych i ślicznych psów, które dokarmiałem z własnego talerza. Nauczyciele miejscowi, opaleni właściciele ziemscy w wysokich butach, wreszcie dwie miejscowe incompriseʼy w czarnych, po szyję zapiętych sukniach". Tyle o ludziach. Jak widać i oni mają tutaj kształt skamieniały i wystylizowany. To niemal postaci z rysunków Franciszka Kostrzewskiego lub z którejś komedii Bałuckiego.

A jak wygląda świat po dziesięciu latach podróży? Nie jest to już cicha, małopolska prowincja, tym razem to Paryż, stolica tej kultury, na peryferii której leżał Sandomierz. I jest już rok 1946. Jaki nowy dramat rozgrywa się w tym starym świecie, jacy są jego nowi bohaterowie zanotowani przez naszego obserwatora? To po prostu nadsekwańskie bulwary z gablotkami bukinistów i tomami Prousta i André Gideʼa. To, dalej, wyspa św. Ludwika, stare pałace na Quai Bourbon i Quai dʼAnjou, Sacre-Coeur i bulwar St. Michel, kolekcja po braciach Goncourt, obrazy Bougina i Lorraina, Breughela i Ingresa. A człowiek? Owszem, i tutaj jest o nim mowa. Oto „robotnicy w niebieskich bluzach, w kaszkietach, młodzieńcy ubrani z przesadą, bez kapeluszy, kobiety źle umalowane, bez pończoch". Może dowiemy się o nich czegoś bliższego niż o „opalonych właścicielach ziemskich" i „dwóch incompriseʼach" z Sandomierza? Ale nie. „Nie po to chodzę po wyspie św. Ludwika, by weszyć prowincję". Czyżby historia nie ruszyła się z miejsca?

Nie wyciągajmy jednak z tego zestawienia zbyt pochopnych wniosków. Podróż, którą odbywa autor na kartach swoich notatek, jest podróżą literata o inteligentnej i bystrej umysłowości, podróż wybitnego pisarza, który wędruje na przełaj pomiędzy dziełami ulubionych swoich i wielkich twórców, wysysając z nich, jak z najrzadszych kwiatów, miód pisarskich i humanistycznych doświadczeń. To są marginesy intelektualne, na których osiada — przecedzona przez sito wojennej próby — dojrzała mądrość tych dzieł, a raczej to, co z tej mądrości po przecedzeniu pozostało. Iwaszkiewicz, Słonimski, Napierski, Chamfort, Stendhal, Fromentin, Turgeniew, Proust, Gide, Jacob — to preteksty do rozważań nad stosunkiem teraźniejszości do niedawnych prądów artystycznych, nad niektórymi istotnymi zagadnieniami współczesnej literatury, nad jej perspektywami rozwojowymi. Nigdy nie zapomina autor przy tej sposobności jasno i wyraźnie określić swojego miejsca u boku tych wszystkich, którym droga jest prawdziwa wolność, prawdziwa kultura i prawdziwy postęp, tzn. u boku ludzi lewicy społecznej. Kilkakrotnie zaznacza przełom, jaki dokonał się w nim samym od czasów przedwojennych, czasów 1936 roku i „Wiadomości Literackich", kiedy jako syn bogatej, rentierskiej, mieszczańskiej rodziny obawiał się, że „mniej lub bardziej gwałtowne przemiany zlikwidują nagromadzone cenności kulturalne, które leżały bezużytecznie w tym wielkim składzie starzyzny i błyskotek, w lamusie Francji i świata", kiedy uważał, że „Zachód jest jedyną opoką cywilizacji, że musimy trwać na straży ideałów biorących swój początek z ognisk cywilizacyjnych położonych w basenie morza Śródziemnego, że surrealizm to największe osiągnięcie poezji francuskiej, że Gide to jedyny moralista itd".

Co oznaczają więc wstępne aluzje sugerujące, że mimo wszystkie przemiany — świat wewnętrzny Pawła Hertza pozostał ten sam? Oznacza to, że wspomniane przeobrażenia dokonały się przede wszystkim w sferze „świadomości społecznej" autora, do jego „świadomości artystycznej" — nie dotarły. Oznacza to, że podróżnik nie obserwuje jeszcze rzeczywistości ze szczytu, którego centralne umiejscowienie pozwala zorientować się w rozplanowaniu całości badanego obszaru literackiego, pozwala ustalić właściwe hierarchie jego poszczególnych warstw i płaszczyzn. Hertz patrzy z dowolnie i wygodnie przez siebie obranego miejsca i widzi w pierwszym rzędzie pojedyncze fragmenty krajobrazu uderzające go ostrością linii i barw, niezwykłością kształtu, dziwnością materiału, tak jak we „Wspomnieniu o Stefanie Napierskim" jednym z istotnych motywów tego wspomnienia jest „piękny kot" i „zielona lampa". Świat literatury, w kręgu której obraca się żywa i ruchliwa inteligencja Hertza jest po trochu nadal zamkniętym, kamiennym światem o doskonałych proporcjach, zachowanych niemal bez zmian jeszcze z czasów mieszczańskich. Hertz wie bardzo dobrze o współczesnym, rewolucyjnym przełamaniu tych proporcji, ale stwierdza to z niejaką rezygnacją. Pisząc o Prouście powiada: „Mógłbym, starając się uratować dla dzisiejszego czytelnika dzieło Prousta, oświadczyć, że sztuka jest bezinteresowna. Ale n i e s t e t y, to nie jest prawda". W tym jednym, małym słowie „niestety" mieści się cały ogrom żalu za utraconym czasem mieściny sandomierskiej z jej nieruchomym pięknem zamku, ratusza i katedry, z obrazem przedstawiającym „dość realistycznie" mord rytualny.

Nie znaczy to, aby omawiane szkice nie miały właściwego tła społecznego, aby poszczególne zjawiska obserwowane były w oderwaniu, bez umieszczenia ich w określonej czasowo perspektywie. Owszem, zawsze podkreślona jest u Hertza świadomość historycznej zmienności tych zjawisk, nie zaniedbuje autor klasowej oceny tych i owych faktów literackich. Ale ta ocena jest często powierzchowna i schematyczna, autor usiłuje nierzadko ogólnikiem szkolnego, podręcznikowego (dla klas niższych) socjologizmu — prześliznąć się przez zawikłaną problematykę niektórych zagadnień. Mały przykład: na str. 192 garść uwag biograficznych i dokumentarnych o Marcelim Prouście kończy lapidarne określenie go jako „ostatniego zapewne klasyka mieszczańskiej Francji". Na str. 204 ten sam dosłownie tytuł przypada André Gideʼowi „ostatniemu klasykowi mieszczańskiej Francji".

Pomijamy już fakt, że Proust jest raczej epikiem i klasykiem francuskiego świata feudalnego, tych „ostatnich, co tak poloneza wodzą" szlachciców: książąt Guermantes, baronów de Charlus, margrabin de Villeparisis, Saint-Loupów. Świat Swannów i Bergottów, Verdurinów i Blochów — jest w genialnym arcydziele Prousta odmalowany z równym realizmem i już na tej podstawie uzasadniona mogłaby być nazwa „klasyka m i e s z c z a ń s k i e j Francji". Ale jakaż ogromna różnica między mieszczańskością Prousta a mieszczańskością Gideʼa! To różnica całej epoki, różnica faz w ekonomicznym rozwoju kapitalizmu. Rozległa proustowska panorama mieszczańskiej Francji ukazuje tę klasę jeszcze w fazie zdobywczej, w momencie jej awansu społecznego. Obserwujemy jak mieszczański układ społeczny rozbija kastowe mury zamkniętego świata feudalizmu, salon pani Verdurin staje się powoli skrótem, przekrojem współczesnej Francji, kończy tę drogę rozwojową związek pani Verdurin z baronem de Charlus. Burżuazja dochodzi do szczytu swojej potęgi, naród francuski zmienia swego pana.

A Gide? To epoka mieszczańskiego dna. Imperializm i system kolonialny — ostatnie stadia kapitalizmu — zamknęły tę epokę. Burżuazja z klasy postępowej staje się ostatecznie klasą rentierską i pasożytniczą. „Podróż po Kongo", „Powrót z Czad", „Lochy Watykanu" i „Fałszerze", to kolejne literackie zwierciadła rozkładu: gospodarczego, moralnego i artystycznego.

Jeżeli podkreśla się tutaj te oczywiste sprawy to nie dlatego, aby pouczać o nich autora „Notatnika", który świadom ich jest z pewnością co najmniej równie dobrze. Chodzi raczej o to, aby zwrócić uwagę na ową, występującą często w całym tomie, skłonność do felietonowych, łatwych i powierzchownych uogólnień w rodzaju właśnie „ostatni klasyk mieszczaństwa" lub — kiedy mowa o Skamandrze: — „Było to pokolenie synów marnotrawnych, którzy strwonili dziedzictwo reportażu lirycznego dla katastroficznych wizji końca świata, dla stylizacji, dla liryki refleksyjnej, filozoficznej".

No cóż, „Notatnik obserwatora" jest przecież właśnie tylko zbiorem felietonów, trudno od nich wymagać wyłącznie naukowej analizy faktów literackich czy też ściśle krytycznych i teoretycznych wywodów. Nie to jest zresztą celem felietonu i essayʼu. Ale z drugiej strony felieton nie jest jakąś wyspą literacką, którą ominęły fale współczesnych przemian, te same fale, które podmyły wszystkie inne bardziej stałe lądy. Podróżnik wybierający się na najbardziej nawet łatwy spacer literacki po utraconym i przeszłym czasie musi się zaopatrzyć w precyzyjne i nowoczesne narzędzia i instrumenty miernicze. Inaczej może nie zauważyć — czasu teraźniejszego.

Henryk Vogler

POWIEW WOLNOŚCI

(Dokończenie ze strony piątej)

pienia setek ludzi spowodowane naszą a więc i moją działalnością. Nie urodzony na wodza nie mogłem się uwolnić od myśli, że to raczej ja powinienem leżeć w kostnicy. Na dwadzieścia dwie ofiary zaledwie trzy brały udział w ruchu. Jedna z matek dwie doby bez snu oczekiwała na powrót dwudziestoletniego jedynaka i nawet, gdy go jej pokazano w trumnie, nie uwierzyła w rzeczywistość:

— Nie, to nie Józek, — szeptała— poznałabym go nawet po śmierci Cóż to, myślicie, że rozum straciłam?

Majaczyły mi ręce dzieci, matek, żon wyciągnięte w bolesnym błaganiu o zmiłowanie. Któż się ma zmiłować? Jak? Walczymy dopiero o sprawiedliwość.

Pogrzebem zajęli się nieliczni aktywiści pozostali po dwukrotnych licznych aresztowaniach, między innymi Maria i Biały. Wykupiono wszystkie czerwone wstążki w mieście, przetrzebiono w okolicy głogi na korony cierniowe, ale wobec czujności tajnej policji, niepodobieństwem było składać je na trumnach w czasie pochodu, rozporządzając kilkunastoma osobami. Zdecydowano odszukać rodziny, stosując daleko posuniętą ostrożność, lecz zaraz na wstępie uwidoczniło się, że nawet mieszkania krewnych obserwowano. Gdy się trudności piętrzyły, nadeszła nieoczekiwana pomoc. Poszła w ruch „masońska" organizacja sympatyków. Maria otrzymała upoważnienie towarzystwa dobroczynności, napisane po rosyjsku, z wielką pieczęcią, do niesienia pomocy biednym rodzinom poległych. Zaopatrzona w pieniądze ruszyła z miną miejscowej dygnitarki dwukonną dorożką na objazd nędzy. Kosz zamaskowany z wierzchu starą garderobą przeznaczono do przewiezienia wieńców.

◆

Dwadzieścia dwie trumny. Dwadzieścia dwa czerwone płomienie nad morzem ludzkich głów. Dzwony fary brzmią jak na trwogę. Kler katolicki w komplecie wznosi w oddali egzekwie niepewnymi głosami. Zasięgnąwszy opinii kurii biskupiej, dziekanat radomski postanowił wziąć udział w pogrzebie. Za klasą robotniczą, walczącą o prawa polityczne stały wtedy wszystkie warstwy społeczeństwa. Nawet andecy nie mieli odwagi mówić o „żydowskiej robocie za niemieckie pieniądze". A tam, gdzie idą „wyższe sfery" idzie i kler choćby mu się droga wydawała niewłaściwa. Był więc kler, kadził i kropił, ale śpiewał niepewnie, bo czuł, że dla ogromnej większości biorących udział w pogrzebie, relikwią był nie krzyż Chrystusowy, symbol poddania i uległości, lecz trumny poległych, krzyczące symbolem walki.

Niesiono dwudziestu dwóch chorążych z dwudziestoma dwoma sztandarami złożonymi na trumnach. Szedł tuż cały Radom czujną masą. Idący przodem kierowali uszy w tył, gotowi natychmiast udaremnić wszelką profanację. Nienawiść zaciemniła ludziom oczy na potęgę wroga, wyolbrzymiła poczucie własnej siły. Skłębiona chmura masy ludowej mogła się wyładować w burzę przy najmniejszej przeszkodzie.

Trumny poległych otoczył samorzutnie zwarty pas honorowej straży robotniczej. Wstęgi nie miały żadnych napisów, sama czerwień dostatecznie wyrażała ideę i uczucia. Lecz co to? W środku kolumny na jednym z wieńców czernieje niebezpieczny napis. Na wstęgach opuszczonych wolno, przy każdym ich poruszeniu, biją w oczy ułamki jakiegoś antyrządowego napisu: „cierpiał". Jeden z agentów prosi rodzinę, by rozłożyła szarfy. Wszczyna się czujny ruch koło trumny. Pogotowie robotnicze przeczuwając interwencję zaciska w dłoniach laski. Idący przodem zwalniają kroku. Jeszcze chwila a cały pochód zostanie wstrzymany. Księża pod pozorem rytualnego interwału urwali śpiew, tylko dzwony huczą. Wtem powiew wiatru rozkłada wstęgi na całej długości:

„Któryś cierpiał za nas rany, Jezu Chyste zmiłuj się nad nami" woła napis i wstrząsa publicznością, która widzi swych Chrystusów poległych w walce. Trumny przechodzą z ramion na ramiona jak relikwie. Niosą je na równi z mężczyznami kobiety, pierwszy raz w historii Radomia. Czerwoni chorążowie spajają całą masę duchem jedności bez różnicy płci i wyznania. Pieśń rewolucyjna brzmi donośnie, podchwycili ją nawet tajniacy, kryjąc się za nią jak za tarczą.

Idziemy z Marią obok siebie, idzie cała nieliczna organizacja ukryta w masie. Nie wierzymy własnym głowom i oczom. To co widzimy i odczuwamy jest niewspółmiernie większe niż demonstracja „zbrojna" w wilię. To nie pogrzeb, lecz zmartwychwstanie sił, które przed trzema dniami wydawały się zupełnie rozbite.

Lucjan Rudnicki

KRONIKA TEATRALNA

„Przyjaciele" — komedia liryczna Andrzeja Uspieńskiego w Teatrze Miejskim w Lublinie: reżyseria Czesława Strzeleckiego, oprawa sceniczna J. Torończyka. Na zdjęciu K. Lorenc (aktorka Orłowa) i H. Ziółkowska (lotniczka Kurnikowa)

„Budowali most" Gabrieli Pauszer-Klonowskiej w Teatrze Dzieci Warszawy: inscenizacja Klimy Krymkowej, reżyseria Henryka Ładosza i Izabelli Szereszewskiej, dekoracje Andrzeja Sadowskiego.,

KORESPONDENCJA

„Kto zrobił z Conrada pisarza francuskiego?"

Do Redaktora „Odrodzenia"

W numerze 48 „Tygodnika Powszechnego" z 28 listopada br. ukazała się przedmowa Jana Parandowskiego do „Złotej strzały" Conrada. Pisze w niej m. i. Parandowski „na pociechę wydano zbiór listów francuskich Conrada z takim napisem na okładce: Joseph Conrad, écrivain français".

Zbierałem przed wojną conradiana, posiadam jego listy francuskie: „Lettres françaises avec une introduction et des notes de G. Jean Aubry, ed. NRF", nie znam jednak wydania jego listów w języku francuskim z cytowanym u Parandowskiego napisem „écrivain français" na okładce. W „Oeuvres complètes" wydanych przez Gide'a i Aubryego również z takim napisem się nie spotkałem. Paul Valéry w ogłoszonym w 1924 „l'Hommage à Conrad" zaznaczył „Conrad parlait le français avec un bon accent provençal, mais l'anglais avec un accent horrible, qui m'amusait beaucoup" itd. Ale i Valéry nie zdradzał pokusy przyswojenia Conrada Francuzom.

Prosiłbym o wyjaśnienie, kto i kiedy wydał jego francuskie listy z przytoczonym wyżej napisem?

Mieczysław R. Frenkel

„Czy to naprawdę było konieczne?"

Do Redaktora „Odrodzenia"

W numerze 40 (201) „Odrodzenia" ukazał się mój artykuł „Master builder nr 1". Interesujących się naszym życiem muzycznym zaznajomiłem w tym artykule z poglądami i spojrzeniem na to życie znakomitego naszego kapelmistrza, Artura Rodzińskiego, od długich lat mieszkającego stale w Stanach Zjednoczonych. To, co powiedział Rodziński o swoich planach na wypadek, gdyby się zdecydował osiąść na stałe w Polsce, bardzo się nie spodobało panu Witoldowi Rowickiemu. Dał temu wyraz w numerze 46 (207) „Odrodzenia". Przy tej okazji dostało się i mnie. Pan Rowicki uważa, że jako jeden z reprezentantów Polski za granicą, miałem obowiązek naświetlić Rodzińskiemu rzeczywisty stan sytuacji muzycznej w Polsce i robi ironiczną uwagę, że przecież trudno sobie wyobrazić, by urzędnik Poselstwa Polskiego był niezorientowany w życiu kulturalnym kraju. Nie wiem skąd panu Rowickiemu wiadomo, że nie rozmawiałem z Rodzińskim o naszym życiu muzycznym, i co mu na ten temat mówiłem. Pan Rowicki uważa, że echa tych moich uwag powinny się były znaleźć w omawianym artykule. Otóż co do tego mego drugiego obowiązku mam poważne zastrzeżenie. Gdyby Artur Rodziński był mną, a ja Arturem Rodzińskim, artykuł wyglądałby w ten sposób, że ja mówiłbym, a on by słuchał uważnie i notował. Ponieważ jest inaczej, nie uważałem ani za celowe, ani za potrzebne wtrącać na łamach „Odrodzenia" swoich własnych trzech groszy. Z tego nie wynika, abym tak samo jak pan Rowicki, nie był zdania, że Rodziński przez tyle lat odcięty od kraju, miał i ma informatorów bądź, jak pisze pan Rowicki, nieuczciwych, bądź ignorantów. No, ale dzięki memu artykułowi, który tak wzburzył pana Rowickiego, Rodziński wie teraz ze źródła absolutnie autorytatywnego, jak nasze życie muzyczne wygląda.

Inna sprawa: czy właśnie tego rodzaju metodę należało obrać przy informowaniu wybitnego artysty, który chciałby wrócić do kraju, czy tego rodzaju typ kwaśnych wycieczek osobistych jest w takich wypadkach wskazany i celowy? Na zakończenie jeszcze jedno: Rodziński był i jest źle informowany nie tylko o sprawach muzycznych. Jego informacje na temat całokształtu naszego życia nie odpowiadają również naszej rzeczywistości. W długich rozmowach starałem się naświetlić mu tę rzeczywistość tak, jak ją widzimy i odczuwamy. Wydaje mi się, że to było przede wszystkim moim obowiązkiem, a nie publikowanie — przy okazji wywiadu — oceny naszej sytuacji muzycznej.

Jacek Frühling

Nakładem Towarzystwa Naukowego Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego

ukazały się następujące nowości:

Prof. Dr Juliusz Kleiner „Mickiewicz" — wielka trzytomowa monografia znakomitego historyka literatury polskiej, wydanie jubileuszowe dla uczczenia 150 rocznicy urodzin największego poety Polski. Całość obejmuje 1605 stron oraz 47 ilustracji, cena 3.750 zł.

Ks. Prof. Dr Franciszek Mirek „Zarys socjologii" — pierwszy polski podręcznik socjologii, stron 749, cena 1.400 zł.

Książki te można nabyć w T-wie Naukowym KUL Lublin, al. Racławicka 14 (konto P.K.O. Lublin II-263) i w księgarniach.

K. 57-1

STANISŁAW JERZY LEC

FRASZKI

O pewnym dramacie

Prócz trzech klasycznych jedności
ma czwartą pozatem:
Jedność wśród publiczności,
że nie jest dramatem.

O sercu

Godziny poezji i te w godzinnych hotelach
zegar mosiężną warząchwią jednako wydziela.
Jeśli je zdoła rozpoznać. Bez podpowiadania.
Serce jedynie inaczej każdą z nich wydzwania.

MONUMENTALNE MALARSTWO ŚCIENNE OŻMINÓW

Łucja i Józef Oźminowie — Afryka

MONUMENTALNE malarstwo ścienne, to odłam sztuki dekoracyjnej, przed którym w Polsce, w chwili obecnej, otwierają się olbrzymie perspektywy. Wyrastające w rekordowej szybkości gmachy instytucji państwowych i społecznych nie mogą się obejść bez dekoracji wnętrz. Świeże mury są doskonałym podkładem pod malowidła al fresco i al secco, na wilgotnym i na suchym tynku. A treść obrazów może posłużyć jako poglądowa lekcja historii i ideologii społecznej. Sztuka plastyczna na WZO jest wymownym dowodem, jaką rolę odgrywa ona w popularyzacji problemów socjalnych.

Na czoło dzisiejszych malarzy wnętrz monumentalnych u nas wysuwa się artystyczna para małżeńska: Józef i Łucja Oźminowie. Specjalne studia u André Lhote'a w Paryżu, a potem w Akademii Sztuk Pięknych w Rzymie u prof. Ferazziego, uzupełnione badaniem antycznych technik malarskich w Pompei, przygotowały ich doskonale do prac w tej dziedzinie.

Jeszcze podczas okupacji niemieckiej Oźminowie odkryli cenne malowidła ścienne z XVI w. w kaplicy Jasnogórskiej, po czym z ramienia Ministerstwa Kultury i Sztuki (Ochrona Muzeów i Zabytków) w ciągu trzech lat dokonali ich konserwacji i niezbędnych uzupełnień z wiernym zachowaniem charakteru dzieła i stylu epoki.

Obecnie od pół roku pracują nad malowidłami ściennymi (al secco) w nowym gmachu RTPD w Poznaniu. Jest to największy w kraju gmach szkolny, zbudowany według projektu inż. arch. Czarneckiego. Freski Oźminów w liczbie sześciu, każdy o rozmiarach 3x2 metry, zdobią ściany hallu. Są to postaci alegoryczne, przedstawiające pięć części świata. Symbolika ich jest przejrzysta.

Na ścianie nad załamaniem wewnętrznych schodów widnieje wielka kompozycja figuralna, przedstawiająca scenę bratania się robotnika z chłopem. W projekcie jest jeszcze jedno wielkie malowidło ścienne: Bolesław Chrobry każe wbijać słupy graniczne w Odrę.

Łucja i Józef Oźminowie — Zbratanie chłopa z robotnikiem

We wszystkich tych pracach uderza zwartość i przejrzystość kompozycji, całkowite opanowanie formy malarskiej, rytm postaci ludzkich uchwyconych w ruchu, twarze pełne ekspresji, wreszcie właściwy Oźminom piękny, soczysty koloryt. Zielona bluza robotnika na tle czerwieni cegieł, fiolet i słoneczne złoto szat wieśniaczki, karmiącej dziecko, tworzą harmonijną gamę barwną, na której z rozkoszą spoczywa oko.

Prace Oźminów, na wskroś nowoczesne, nawiązują jednak do najpiękniejszych tradycji sztuki renesansu i baroku. Mocne w formie, czytelne w swej treści, pogodne w kolorycie, dają wyraz duchowy czasu, są chlubnym świadectwem naszej epoki, epoki pracy i odbudowy.

S.P.O.

Hall gmachu RTPD w Poznaniu

CAMERA OBSCURA

CO TYDZIEŃ NAGRODA 1000 ZŁ

Zwracamy się do czytelników „Odrodzenia" z prośbą o współpracę w dziale **„Camera obscura"**. Prosimy o przysyłanie dzienników, czasopism, broszur, ulotek i innych wydawnictw, z ustępami kwalifikującymi się do „Camera obscura" pod adresem: Redakcja „Odrodzenia", **Warszawa, Daszyńskiego 16**, dział „Camera obscura". Ustęp taki należy **wyraźnie oznaczyć**, najlepiej kolorowym ołówkiem. **Komentarze nie są potrzebne.** Do przesyłki należy dołączyć imię, nazwisko i adres wysyłającego. Redakcja nie zwraca nadesłanego materiału i zastrzega sobie prawo wyzyskania go w dziale „Camera obscura". Za najlepszą rzecz danego tygodnia redakcja przeznacza **nagrodę w wysokości 1000 zł.**, którą ma prawo dzielić lub w razie braku odpowiedniej kandydatury, przełożyć na następny tydzień.

Nagrodę zł. 1000 w ubiegłym tygodniu otrzymała ob. Janina Nowicka za nadesłanie książki dla dzieci p.t. „Czworonożni przyjaciele".

Grzechy wydawców

Katowickie wydawnictwo „Universum" umożliwiło paniom W. Ostrowskiej oraz Irenie Cichowskiej wydanie na świat sporej, starannie oprawionej książki: „Czworonożni przyjaciele". Pragnąc zachęcić rodziców do nienabywania niniejszej, podajemy bezpłatnie kilka próbek bez wartości:

1

Cielątko małe przy krowie stało
i ciepłe mleczko z lubością ssało.
Aż nagle, w głowie mu zaszumiało,
zadarło ogon — i poleciało.

2

Żal mi tego miłego osiołka,
że ludzie z niego zrobili matołka.
A jednak... ta oślina, mała, uboga,
bywała ulubieńcem samego Boga.

3

Wyszła świnia z chlewa.
Słoneczko dogrzewa —
łąki całe w kwiecie. —
Ślicznie jest na świecie!
Patrzy świnia na kwiaty i aż oczy mruży. —
— Ech, może jednak lepiej stąplać się w kałuży. —

4

Mówi się różne brzydkie rzeczy na psy.
Trzeba temu koniecznie zaprzeczyć.
Bo chociaż pies nieraz kąsa i szczeka i jest zły,
to jednak w świecie nie ma dla człowieka serca bardziej oddanego od psiego.

W ostatnim wierszyku pań W. Ostrowskiej oraz Ireny Cichowskiej czytamy:

Mówiła kuma kaczka do swej kumy kury:
— Skądże te krowy wlazły do literatury?

Nie wiemy, kaczuszko, nie wiemy...

2

Gdy posiłek jesz z rodziną,
nie zajmuj się czytaniną.

3

Jest to pomysł bardzo lichy,
śpiewać głośno w wieczór cichy.
Nie rób z siebie smętne bóstwo,
bo to wszystko jest oszustwo.
W kuchni pomóc chciej swej matce,
poceruj skarpetki tatce.

4

Nie krytykuj żony szpetnie,
trzeba robić to dyskretnie.

I na zakończenie wierszyk naszego pióra:

Nie rób z siebie mądre bóstwo,
bo to wszystko jest oszustwo.

Na łódzkim rynku

„Dziennik Łódzki" donosi:

PO 120 LATACH

Na placu Zwycięstwa (dawniej Wodny Rynek), gdzie skupia się codziennie kilkaset osób, a w dni targowe po kilka tysięcy w dniu 29 listopada rb. nastąpi otwarcie pierwszego publicznego szaletu. A zatem po 120 latach istnienia Łódź otrzymała 1 „rynkowy" szalet publiczny. (S)

Należy to oblać obywatele!

Nie wyjadaj po kryjomu!

Zamiast tradycyjnych dowcipów, zamieszcza wydawnictwo ukryte pod znakiem „M—44229" wierszowane sentencje w kalendarzu kieszonkowym na rok 1949.

1

Gdy przychodzisz z deszczu zlany,
wytrzyj buty mój kochany.
A gdy jesteś sam już w domu,
nie wyjadaj pokryjomu.

...Niech troski zginą w rozbitym szkle!

Na plakacie przysłanym nam z Zakopanego, czytamy:

UWAGA! UWAGA! UWAGA!
PO TYGODNIOWYM WYŚCIGU ZA „NORMĄ"
RADOŚĆ I ODPRĘŻENIE
da wam w sobotę dn. 20 listopada
„MORSKIE OKO"
TRADYCYJNA ZABAWA POCZTOWA
NIECH WINO W KIELICACH SIĘ PERLI
A TROSKI NIECH W CZYSTEJ ZATONĄ

Zabawa rzeczywiście... tradycyjna.

Korwin po raz trzeci i ostatni

Na życzenie czytelników, którzy nadsyłają nam ostatnio setki wycinków z „powieści" Jerzego Korwina, zamieszczamy po raz ostatni szpalty naszego działu „Zabójstwu Waldemara Glucka".

Tadeusz ujął więc delikatnie wierzch marynarki Naci, ale mimo najwyższą ostrożność nie uniknął dotknięcia jej ramion. Pod jedwabiem bluzeczki pulsowało krwią niesłychanie ponętne ciało. Nacia drgnęła. Czuła ten nieśmiały, trwożny bardzo dotyk młodzieńca i dziwiła się, że organizm jej jakby przyjmował wezwanie przygody. „Miłość umarła — pomyślała błyskawicznie — ale ciało zawsze jest nienasycone". Ręce inżyniera przesuwały się razem z marynarką wzdłuż kręgosłupa i wywoływały przypływ podniecenia również i u niej. Gdy ostatecznie Tadeusz uporał się z rękawami marynarki, zwróciła się ku niemu twarzą, jak stwierdziła jej świadomość — a piersiami, jak zarejestrowała świadomość Tadeusza. Szybko więc powiesił marynarkę na krześle tak błyskawicznymi ruchami, że trudno je było obserwować i mając już wolne ręce znów wyprostowany stanął przed nią twarz w twarz, tak widziały jej oczy, patrzące niespokojnie w jego oczy — pierś w pierś, jak czuł to hamowanym płomieniem inżynier. Nie mógł się jednak zdecydować i Nacia bojąc się, że nieśmiałość zmoże żądzę Szymczyka, uśmiechnęła się do niego dość zachęcająco. Wtedy dopiero ogarnął ją ramieniem.

Wiedziała, że musi się coś podobnego stać między nimi już od pierwszych chwil poznania inżyniera i dlatego, choć w czasie tej krótkiej, jak dotychczas, wizyty wydarzenia galopowały za szybko, nie czuła żadnego w sobie oporu. Szymczyk w ramionach był bardzo silny, ledwie też zdołała mu się z nich wyrwać, lecz gdy zawiedziony nagle i zaniepokojony przystanął znów przy niej z niemym pytaniem na wargach, uspokoiła go powiedzeniem:

— Zdejmę bluzkę, aby się nie wygniotła.

Na tym kończymy druk „proletariackiej powieści z życia robotniczej Łodzi".

REDAGUJE ZESPÓŁ Adres redakcji: Warszawa, ul. Daszyńskiego nr 16, tel. 40.180-90 wewn 22 — Redakcja przyjmuje od g. 11 do 13. — Adres administracji: Warszawa, ul. Daszyńskiego nr 14, tel. 87-112 Konto w PKO — I. 4739
Drukarnia nr 2 „Czytelnika" Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna 80 zł, kwartalna 240 zł B-63394 Wydawca: Spółdzielnia Wydawniczo-Oświatowa „Czytelnik"